Nr. 33. Poznań, dnia 18 Sierpnia 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,5 z odnoszeniem do domu . . 1,6 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 23. — Telefon Nr. 1264. — **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

„Czas uderzyć w czynów stal."

„Praca" poruszyła sprawę dla nas żywotną, podstawową. O ile zrozumiałam jej intencyą, to chodzi jej o stworzenie czegoś doskonałego, czegoś, co właściwie już posiadamy w rozmaitych gatunkach względnie dobrych, pośledniejszych, lub całkiem potępienia i odrzucenia godnych. „Praca" miała tu na myśli nasze potrzeby dzielnicowe z uwzględnieniem wychodźtwa — i to właśnie jej zasługa.

Stwierdzonem zostało przez ludzi fachowych i znawców, że my Polacy mamy *najlepszy na świecie elementarz*, czyli podręcznik do nauki czytania (i pisania zarazem). Odnośna akademia londyńska pierwszeństwo w doskonałości tej oddała dziełu Każmierza *Promyka* (Próchnickiego), który abecadłem swojem i innemi metodami czytania i pisania przyczynił się do tego, iż wśród ludu polskiego liczba analfabetów, tj. nie umiejących czytać, bardzo się zmniejszyła. Jubileusz tego zasłużonego pisarza i nauczyciela ludu w przeszłym roku głośno Polska cała obchodziła.

Tenże Promyk ułożył dla ludu książki do czytania, a kobiety zakordonowe, w których ręku nauczanie ludu (tajne) przeważnie spoczywało i dotąd spoczywa, niezmordowanie pracowały nad zaspakajaniem głodu duchowego; owocem ich pracy i doświadczeń, to doskonałe i tanie książeczki, jak np. „*Pierwsze czytanki*," „*Snopek*" i t. d. wszędzie tam doskonałe ryciny, dobór materyału świetny, litery wielkie, druk wyraźny, papier mocny, a przedewszystkiem *cena niska*, dla każdego dostępna. Przytaczam tylko dwa tytuły, ale książeczek takich moc wielka; a zasadnicza podstawa wydawnictw: książka dla dzieci ludu i młodzieży dorastającej, takiej, która nie zaznała szkoły wogóle, lub nie miała pomocy w nauczeniu się czytania.

I w Galicyi kwapiono się z podawaniem ludowi pierwszej książki podstawowej. Mamy tam przeznaczane dla szkół przez Radę szkolną krajową tak zwane czytanki dla dzieci szkół tak ludowych (elementarnych), jak i średnich: wydziałowych lub gimnazyalnych; te książki układane są systematycznie, jest w nich jednak wiele rzeczy niepotrzebnych, zbytecznych, jak np. apoteoza niektórych członków domu Habsburgów, historya Austryi, itd. itd. Elementarza czyli abecadła równie dobrego jak Promyk Galicya nie wydała.

A co my tutaj mamy?

Sięgając do elementarzy najstarszych, mamy abecadła Kasińskiego, Estkowskiego elementarz i czytanki, dalej Elementarz tak zwany z aniołkiem, mamy elementarz przez śp. dr. Ludwika Rzepeckiego wydany wtedy, kiedy zniesiono w szkołach ludowych resztkę nauczania języka polskiego; nauka tam oparta na podstawie, że dzieci już umieją czytać gotyką i znają litery łacińskie, lecz nie znają liter na brzmienia swojskie. Znamy dalej elementarz t. zw. toruński, wydany przez Buszczyńskiego, wierniejsze naśladownictwo niemieckiej Fibel, mamy wreszcie elementarz pleszewski Bendlewicza i mnóstwo innych jeszcze. W merytoryczne ocenianie tychże elementarzy zapuszczać się tutaj nie zamierzam, bo to rzecz fachowców, zwłaszcza ludzi, którzy sami podług tych metod dzieci czytać uczyli i nauczyli, słów jednak kilka dodam do tego, co „Praca" o takim nowym elementarzu czy podręczniku pisała.

Faktem jest, że dobrej takiej książki dotąd nie mamy, a pewnikiem drugim to, że ją mieć powinniśmy. Złożyć jednak książkę taką, zestawić poszczególne jej części, to rzecz w praktyce do przeprowadzenia nie tak trudna, byle się do rzeczy tej zabrały osoby kompetentne, to znaczy nietylko fachowi nauczyciele czytania, ale równocześnie *wychowawcy* (oczywiście narodowi), ludzie, znający ducha języka naszego, mówiący czysto i poprawnie, ludzie znający na wylot duszę ludu naszego tak roboczego jak i rolnego. Książka taka, takie pierwsze abecadło, powinno ogarniać zarówno sferę umysłową dzieci wiejskich jak i miejskich równocześnie.

Głównie jednak w tejże pierwszej części chodzić będzie o dawanie zarazem *równoczesnych* wskazówek dla nauczających; wskazówek co do czystej wymowy głosów i brzmień naszych, wymawiania *r* i *ł* np. Odnośne ryciny powinny wykazywać, jak przyłożyć język do podniebienia czy zębów, żeby głosy te wydostać czysto, a nie mówić z cudzoziemska, nie „mieć Niemca w gardle." — Jeżeli część pierwsza potrafi podać wyraźne sposoby na osięgnięcie czystości naszej wymowy, jeżeli uzyska to i dla nauczającego i dla nauczanego, to już przez to samo będzie *doskonałą*.

Z tą częścią pierwszą łączyć się winna część nauki o rzeczach, część poglądowa, gdzie uczeń tworzyć musi samodzielne zdania poprawne o przedmiotach go otaczających. Tutaj znowu konieczne są równoczesne wskazówki ostrzegające, jak mówić nie należy, jakich germanizmów unikać nam wypada koniecznie i to w mowie potocznej, w listach itd.

Część trzecia, dając materyał do czytania, winna uczyć nazw naszych geograficznych w Europie i Niemczech w ogóle, a naszych w Polsce w *szczególe*. I tak osobne powinny być zestawienia opisów nazw naszych poszczególnych, osobny opis miasta Poznania, wykaz

ulic tegoż, osobny opis dzielnic: Wielkopolski, Ziem Pruskich, Staropolski czyli Slązka, żeby każdy uczeń od razu nauczył się poprawnych nazw rzeczy mu najbliższych.

W dalszej części dopiero należałoby podać wiadomości z dziedziny rachunków i geometryi, wykaz nazw narzędzi rzemieślniczych, roboczych, wzory najłatwiejszych działań arytmetycznych, wykonanych w języku polskim, z uwzględnieniem grubych błędów gramatycznych, jakie zwykłe ogół niewykształconych popełnia.

W ostatniej dopiero części powinien się znajdować całokształt dziejów Polski do czasu ostatniego, ale niekoniecznie w zestawieniu podręcznika, nazywanego zwykle „Historyą Polski,“ tylko w oświetleniu dzisiejszego naszego położenia politycznego, a do tego pod innym kątem widzenia zbiorowym.

Taki podział elementarnego całego materyału mógłby, zdaniem mojem, najbardziej zalecenia być godnym.

Taka praca zbiorowa powinna być sumą tego, na co się tutaj zdobyć możemy. Nie wątpię, że się na tyle wytrwałej energii zdobędą ci, którzy dla ideowych względów umieją ponosić straty pieniężne i wolności osobistej na dłuższy czas się pozbawiać. Nie wątpię, że w akcyi tak ważnej podać sobie powinni ręce ci, którzy np. się pozwolili powołać do pracy w Tow. Czytelni Ludowych i w „Straży.“ Nie wątpię wreszcie, że usiłowania te wspólne, czy jednostek poprą nasi pozakordonowi szermierze oświaty ludu.

W każdym razie spamiętać sobie warto, że już od ćwierć wieku z górą głośno powtarza się u nas potrzeba wydania abecadła *wzorowego,* że potrzeba ta coraz to bardziej piekąca, że czas przestać nawoływać, gromadzić materyał, badać, śledzić, lecz „czas uderzyć w *czynów stal*“ — to znaczy zwołać komitet znawców, omówić finansową stronę wydawnictwa, czas rozebrać materyał do opracowania — a choćby i konkursową ogłosić nagrodę dla pracy najlepszej.

Zdobądźmy się wreszcie na ten czyn obywatelski. *Helena Rzepecka.*

Ziarno rosło pod grobami.

Poznań, dnia 11. 8. 07.

„Do pracy, razem do pracy
„W ciszy, w zgodzie, dłonią w dłoń,
„My bezbronni, więc rodacy
„Praca — dziś to nasza broń! ......

Zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie — brzmi łaciński wiersz. Zawiera on głęboką i istotną prawdę, nie tylko co do pojedyńczych jednostek, ale i co do całych narodów. Istotnie, jeżeli pomyślimy, jakim był naród polski niegdyś, jakim był w chwili upadku, jakim w różnych epokach walk o odzyskanie utraconej swobody, walk z *bronią* w ręku — a owemu narodowi przeciwstawimy dzisiejsze pokolenie polskie, jego sposoby i środki walki, jego dążności, jego charakter, stosunek różnych warstw do siebie, stwierdzić musimy bezwarunkowo wielką w narodzie naszym zmianę.

Dawniejsze pokolenia, jedno drugiemu jako najbardziej patryotyczną dążność przekazywały w dziedzictwie konieczność orężnej walki. Wszelkie starania, pragnienia, poświęcenia do tego zmierzały celu. Za tą walką jaśniała owym pokoleniom świetlana jutrzenka wolności, ideał nowego odrodzonego państwa polskiego, nowej Polski.

Powstania polskie nadzieje te zniweczyły. Zniweczył je niesłychany w ostatnich dziesiątkach lat postęp na polu techniki wojennej. Naród polski to widział, o zbrojnej walce myśleć przestał.

Nastała konieczność zrewidowania swoich dążności i środków walki. Konieczność ta stała się naglącą szczegól-

Z wrażeń letnich.

Zakopane, 4-go sierpnia 1907.

Stanęło na tem, że wyprawimy się do Morskiego Oka i Czarnego Stawu.

Ranek jasny, słoneczny, promienny. Dolina zakopiańska wydłuża się w nieskończoność — jaskrawo odbija się od wniebosiężnych szczytów i dumnie, poważnie, majestatycznie dźwigających się wzwyż gór.

Bierzemy „lando,“ powóz szeroki, wygodny. Za parę chwil rącze konie, prowadzone przez woźnicę, smukłego górala Jędrka Jacinę, unoszą nas szosą ku Morskiemu Oku.

Droga wyśmienita pnie się ustawicznie w górę; co chwila wyrastają nowe grupy gór, co chwila rozścielają się nowe, przepyszne krajobrazy, posępne swą olbrzymią potęgą i tajemniczością. Upowici jesteśmy ciągle lasami szpilkowemi; drzewa smukłe wyrastają wzwyż jako towarzysze odwiecznych skał, co urągają czasowi i wieczności.

Postój czynimy u wodospadów Mickiewicza, Potoki górskie łączą się w silniejszy strumyk, co wśród skał żłobi sobie jak najwygodniejszą drogę. Z wysokości jakich pięciu metrów spada w ogłuszającym szumie woda; pieni się, bryzga, bluzga pianą; patrzysz na nią, z jaką żywiołową, zaciekłą siłą spada na skały fala po fali, rozpryskując się na tysiączne, drobne — ciągle, ustawicznie, nieskończenie. Huczy, dudni, przeraża. Wali z taką wściekłością, że kolor jej przechodzi w jasną, przeczystą biel. Biegu jej nie skontrolujesz, tak szybko, tak migawkowo płynie, sypie, tłoczy się jedna po drugiej; patrzysz w ten wir zaciekły, w te skały dumne, spokojne i zdaje się, jakoby one usuwały się w dal, olbrzymiały, wzrastały.

Jedziemy dalej bezustannie niemal wzwyż. Schodzimy z „landa“ i bocznemi drogami pośpieszamy naprzód. Zajmuje nas góral-woźnica, smukły, jak świerk wystrzelający w górę, rosły, smagławy, gibki, jak kozice, skaczące po górach.

Jędrek Jacina opowiada swą przepyszną gwarą góralską legendy o Janosiku, bohaterze podhalańskim, którego postać żyje wśród górali jako symbol siły i mocy góralskiej.

— Kiedy żył Janosik, nie pomni; młody jest Jędrek, ma ledwo roków osmnaście, do wojska nie stawał, nie pamięta, kiedy Janosik żył i działał. — Opowiadano mu o herszcie wiela.

Dawno on żył; może lat temu dwadzieścia, może czterdzieści, może więcej, nie wie zresztą; starzy ludzie gadają, że pamięta go góral zakopiański Gąsienica, który sam nie wie, ile lat żyje, ponoś sto, a może i więcej; wiekowy ten Gąsienica miał Janosika znać, czy nawet należeć do jego bandy.

Janosik był góralem; służył za młodu u czarownicy; służył im lat sześć. Ale sprzykrzyła mu się ta służba czarownicom i powiedział im raz, że pójdzie het. Za służbę swą wierną żądał nagrody sowitej. Czarownica zgodziła się i mówiła, że da mu coś godnego, jeżeli on spełni ten warunek, jaki mu spełnić przekaże, jeżeli przetrzyma tę próbę, jakiej ona go podda. Zgodził się Janosik. A czarownica mu rzecze, że go uśpi, że położy mu na brzuch węgiel, a on ma wytrzymać dopóty, póki węgiel nie spopieleje doszczętnie. Legł Janosik na łożu, zasnął, a czarownica kładzie mu na pępek wielki kamień żarzący się; góral się zwinął, zacisnął zęby, zżymnął się i — wytrzymał. Wprawdzie mu ogień przepalił flaki do kości, ale węgiel zgasł, a Janosik nie jęknął z bólu. Za tę wytrzymałość obdarzyła go czarownica przepaską i ciupagą góralską, a tkwiła w nich taka moc szalona, że Janosika zmódz nie mógł nikt.

Hej, hulał sobie Janosik po górach. Że Węgrzy dokuczliwi byli

się wobec coraz głośniej, jawniej i brutalniej rozbrzmiewającego po ziemiach polskich hasła: ausrotten.

Idea odbudowania nowej Polski zeszła na dalszy plan wobec naglącej potrzeby: *bronienia polskości przed naporem wynaradawiającym.*

A kiedy dawniej Polacy zapatrzeni w ideał zbrojnej walki, śledzili tok spraw politycznych szczególnie europejskich i to stósunek różnych państw do tych, które Polskę rozgrabiły, — teraz zmuszeni zostali zwrócić uwagę *wewnątrz siebie.*

I widok to nie był radosny. Ujrzano w około siebie dużo pól nieuprawnych, ujrzano luki w naszej społecznej budowie, ujrzano lud zaniedbany, brak polskiego kupiectwa i przemysłu, brak polskiej inteligencyi zawodowej.

Powstało hasło: pracy wewnętrznej nad odrodzeniem narodu.

I zabrały się do tej pracy wszystkie zabory — każdy na swój sposób, bo każdy w odmiennych warunkach.

W najtrudniejszem położeniu znalazła się Wielkopolska. Z wszystkich trzech zaborów Prusy w ostatnim czasie przeszły epokę szybkiej ekspansyi. Daty wojen z r. 1864/1866, 1870/71, mówią tu dosyć.

Pochód zwycięski Prus poprzez potęgę Austryi i Francyi kazał im wierzyć w swą moc zachłanną. Nas obwołano „wewnętrznym" wrogiem państwa, przeciwko nam ogłoszono nowoczesną krucyatę i poczęto spychać z urzędów, ze szkół, z ziemi wreszcie.

Jest to robota planowa, obliczona na długie lata, a popierana całą siłą wypróbowanego aparatu państwowego.

Co gorsza, zaniedbane przez nas pola okazały się jako słabe strony w organizmie naszym. W te poczęto uderzać.

Nadto przezorni poprzednicy Bismarka potworzyli na ziemi naszej — oazy niemieckie.

A kiedy ze szkół wygnano język polski, wtenczas też i równocześnie poczęto rozszerzać owe oazy.

A były i są między niemi takie, które uważano i dziś uważa się — za siedliska germańskiego ducha i germańskiej kultury na „kresach wschodnich."

Do nich na pierwszem miejscu zalicza się okręg nadnotecki — a wśród niego miasto *Bydgoszcz.* Z tryumfem głoszą o sobie Niemcy, że w chwili przydzielenia dzielnicy naszej do Prus, Bydgoszcz nie liczyła tysiąca mieszkańców, że była nędzną osadą, nie odgrywającą żadnej roli. Połączenie Noteci z Brdą, a przez to Warty z Wisłą nadało Bydgoszczy od razu szczególne warunki rozwoju i wzrostu szybkiego. Miasto rozwijało się istotnie szybko — chciano w niem widzieć ostoję germańskiego ducha, stawiając je jako wzór niemieckiej pracy, jako zdobycz niemieckiej kultury.

Zapomniano, że miasto dzisiejsze powstało na polskiej ziemicy, że w tej ziemicy pochowane były prochy dawnych pokoleń polskich, i że w tych prochach, w grobach tych spoczywać może — ziarno polskie, które zroszone znojem i trudem polskim może zakiełkować, zapuścić korzenie i rozrosnąć się w siłę.

Zapomniano i obwieszczono światu Bydgoszcz jako praniemiecką. Kilka tysięcy Polaków nie sądzono za potrzebne brać w rachubę. Sądzono, że to resztki, które moloch germański zdławi — bez trudu, olśniwszy je fascynującym pozorem swej kultury.

Tymczasem, obok rosnącej niemczyzny, rosły zaniedbane, niedocenione owe „resztki" polskości. Liczyła Bydgoszcz 10 tysięcy, liczyły one — 2 tysiące, liczyła Bydgoszcz 20 tys. — liczyły one 4 tysiące, liczyła Bydgoszcz 30 tys. — liczyły one 6 tysięcy, liczy dziś Bydgoszcz 80 tys. — liczą owe rzekome resztki polskości — *20 tysięcy!*

---

wielce górallom, Janosik zebrał około siebie bandę góralską i zapędzał się w węgierskie strony, aby pomścić góralskie krzywdy i cierpienia. Wśród Węgrów szerzył postrach i lęk; wysłane przeciw sobie wojska bił do cna i nie było nic, coby go mogło w zapalczywości wstrzymać, a przemódz. Ani siła fizyczna, ani czas nie zmogły bohatera. A on nie spowiadał się nikomu, na czem polega jego potęga, nikomu prócz narzeczonej.

Miał ci ją Janosik jedną i był jej zawżdy wierny. Nie sprzeniewierzał się nigdy. Ale owej dziewusze zadługo zdawało się czekać na Janosika, on sam się jej sprzykrzył. Poczęła więc „kupczyć się" z innymi i do tego, z Węgrem. I Węgrom zdradziła tajemnicę Janosika.

I raz się zdarzyło, że wojska przeciw Janosikowej bandzie ruszyły, pobiły jego towarzyszy. Ostał Janosik sam, położył moc nieprzyjaciół, ale skoro jeden z nich przeciął mu przepaskę, stracił siłę niezłomną i po dłuższej walce musiał się poddać. Janosika Węgrzy okuli kajdanami, odprowadzili do lochów więziennych, gdzie zmarniał podle.

A w pamięć Janosika wzniesiono w jakiemś miasteczku kapliczkę. Ulano do niej postać bohatera ze szczerego srebra, a obok niego ułożono ciupagę jego prawdziwą i prawdziwą opaskę.

Jest to jedno z tysiąca podań, jakie o mitycznym bohaterskim góralu kursują na Podhalu, lud podhalański czci w nich siłę swoją, potęgę wewnętrzną i fizyczną, dziką, niepohamowaną żywiołową naturę, nieugiętą i niezłomną, jaka wyradza się w nim przy ciągłem obcowaniu z potężną przyrodą, jaką wytwarzają warunki bytowania, jaka wyrabia się w bezustannem łamaniu się i zmaganiu z naturalnymi stosunkami.

Bieżymy wdłuż Rybiego Potoku, tworzącego odpływ Morskiego Oka; przebywamy Dolinę Mickiewicza; oto już widać chaty, hotele i domostwa, rozsiadłe nad jeziorem.

Za chwilę u stóp naszych rozpościera się olbrzymia tafla Morskiego Oka. Przebłyska w niej przepięknie słońce, tworząc rozmaite kolory.

Tuż przy brzegu woda jasno zielona, przezroczyście jasna; każdy kamyczek na dnie przebija się wyraźnie. A fala odbija się od brzegu, idzie w dal ciemno szafirową, to znów tworząc w promieniach słonecznych srebrzystawą powierzchnię. Błyszczy się Morskie Oko jakby powierzchnia oświetlana słońcem, obramowana była srebrzystemi łuskami.

A wzwyż sterczą ponure groźne skaliska Mnicha, Mięguszowieckiego, Rysów, Żabiego i Siedmiu Granatów. Strażnice tej potęgi i pełnej majestatycznej trwogi — ciszy.

— Chcieli Węgrzy wziąć Morskie — prawi mi Jędrek — aleśmy nie dali, ostało przy Polsce. Dumni są górale z swych gór, ukochali je serdecznie i nie oddaliby ich nikomu za żadne skarby świata.

Wolnym krokiem okrążamy Morskie Oko, aby stromą ścieżyną wedrzeć się wyżej do Czarnego Stawu, leżącego o kilkadziesiąt metrów wyżej od Morskiego.

Czarny staw robi wrażenie potężniejsze i groźniejsze. Cisza, że w uszach dzwoni. Tuż obok skały olbrzymie, zlewające się górą ze stropem niebieskim. Toń jeziora brutalnie czarna. Czarność wody, szarość skał, biel leżących na stokach górskich śniegów — nastraja nas dziwnie poważnie.

Tak na naszej ziemi smutno i krwawo, tak u nas twardo i żmudnie — takie skały i tonie nas wszędy czekają, ale tem nam to wszystko i droższe i świętsze. *M. N.*

Zamierające pozornie owe resztki dziś budzą się, ożywiają, podnoszą głowę i wołają donośnie: jesteśmy — żyjemy!

I co najważniejsza: budzą się o własnych siłach, z wewnątrz, z własnego popędu i w poczuciu własnej siły.

Dowodem tego życie organizacyjne — Sokół, kółko śpiewackie, towarzystwo przemysłowców, robotników, wreszcie najmłodsza: *czytelnia dla kobiet*.

Powstała ona z inicyatywy i za przyczynieniem p. doktorowej Emilowej Warmińskiej, żony znanego powszechnie śmiałego i niezmordowanego szermierza sprawy polskiej w Bydgoszczy.

Powstała ona dopiero w kwietniu b. r., a jak była potrzebną, na jak żyzną padła glebę, tego najlepszym dowodem fakt, że, w przeciągu 4 miesięcy zdobyła sobie 150 członków, że ma kilka set książek do czytania, osobny lokal etc.

Objaw to żywotności polskiego żywiołu w Bydgoszczy. Potrzeba było tylko iskry rzuconej, ażeby rozpaliła się pochodnia, która przyświecać może jasnym płomieniem oświaty wśród kobiet bydgoskich.

Szczęść Boże — Czytelni bydgoskiej!

Dla nas jednakże sprawa ta nie kończy się na samem pobożnem życzeniu. Objaw żywotności żywiołu polskiego w Bydgoszczy jest czemś więcej, jest dowodem, że nawet tam, gdzie wrogowie nasi zatknęli głośno i buńczucznie zwycięski swój sztandar, że i tam spoczywają ziarna polskości, które wydobywać nam trzeba i pielęgnować, ażeby z nich wyrósł bujny plon.

Istotnie patrząc na odradzającą się Bydgoszcz, trudno zamykać się przed prawdą zawartą w pieśni:

Choć świat mniemał, że nad nami
Pogrzebowy jęknął dzwon,
Ziarno rosło pod grobami
Z naszej siejby zbierzem plon.

Zbierzemy ten plon, jeżeli będziemy umieli pracować celowo i planowo. Początek do tej pracy w Bydgoszczy jest dany. Życie towarzyskie zostało rozbudzone — a nawet zakupiono obszerny plac z domem, ogrodem i salą. Są więc i realne podstawy dla dalszego rozwoju, tak że wzrok nasz, gdy patrzy w przyszłość, widzi ją promienną i jasną.

Idzi Świtała.

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 12-go sierpnia 1907.

Rząd rosyjski czuje się coraz mocniejszym i dąży do tego, by jaknajbardziej przywrócić stan taki, jaki był przed rewolucyą. Przekonawszy się, że w Królestwie Polskiem największą siłę przedstawia stronnictwo demokratyczno-narodowe, rząd zwrócił przeciwko niemu teraz ostrza swych prześladowań.

Zamknięto więc najprzód największe pismo, prowadzone w duchu stronnictwa — „Gazetę Polską“ na cały czas trwania stanu wojennego bez podania przyczyn, drogą administracyjną. Zamknięto następnie „Klub narodowy,“ stowarzyszenie, które powstało przed kilkoma miesiącami, i które skupiało demokratów narodowych. Klub narodowy miał główną siedzibę w Warszawie, na prowincyi zaś posiadał swoje oddziały. W jego lokalach zbierano się dla narad nad sprawami politycznemi, urządzono odczyty i t. d.

Obecnie w piśmie rosyjskiem „*Rossija*,“ które jest organem prezesa ministrów Stołypina wystąpiło z szeregiem oskarżeń przeciwko stowarzyszeniu *Polska Macierz Szkolna*. Przed zamknięciem klubu narodowego ta sa-

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

57) Opowiedział **Julian Baczyński.**

(Ciąg dalszy).

Tak więc — gdy należało nie zwlekać, nie wchodzić w żadne układy z w. ks. Konstantym, lecz uderzyć na jego armię, która złożona przeważnie z Litwinów i Białorusinów, trapiona zimnem i głodem, byłaby niewątpliwie broń złożyła lub z powstańcami się połączyła — zawieranie układów pozwoliło temu tyrańskiemu księciu wyjść z wojskiem spokojnie z granic Królestwa, a za darowanie mu życia odwdzięczył się narodowi polskiemu w ten sposób, że kazał przykuć do działa Łukasińskiego i tak go uprowadził z sobą.

Radość prawdziwa zapanowała w Warszawie dopiero, gdy w jej mury weszły wojska polskie, które odstąpiły Konstantego i złączyły się z narodem. Najprzód przybył generał Szembek z pułkiem strzelców pieszych (dnia 3-go grudnia), a potem grenadyerzy [1]) i szaserzy. [2]) Witano ich z szaloną radością, wznosząc okrzyki:

— Przebaczamy wam to chwilowe odstępstwo!

Dwaj tylko generałowie tego wojska Winc. Krasiński i Zygm. Kurnatowski byli przejęci duchem rosyjskim i występowali wrogo przeciwko powstaniu, a Kurnatowski kazał nawet strzelać do ludu (29-go listopada); ledwo też zdołano ich wyratować przed zemstą wzburzonego ludu.

Tak więc w przeciągu sześciu dni z małego rozruchu młodzieży rozszerzyło się poważne powstanie, z którem złączył się naród cały i wojsko. Zamiast rządu zależnego od Rosyi wytworzył się zupełnie inny rząd rewolucyjny. Tylko, że przy tym rządzie rozpaliło się w Warszawie szkodliwe i niebezpieczne dla narodu ognisko zaburzeń i rozruchów. [3])

4. Chłopicki dyktatorem. (5go grudnia 1830 r. do 17go stycznia 1831 r.)

Jedyną teraz władzą w Królestwie, która miałaby prawowite pochodzenie, mógł być sejm; jedynym mężem powszechnego zaufania, który byłby najwyższym naczelnikiem kraju, był generał Chłopicki. Gdy więc wobec anarchii [4]) szerzącej się w klubie Towarzystwa Patryotycznego, Rząd tymczasowy postanowił zwołać sejm i Chłopickiemu nadać nieograniczoną władzę wojskową, tenże generał Chłopicki za radą swych wielbicieli ogłosił się sam aż do zebrania się sejmu dyktatorem czyli nieograniczonym i nieodpowiedzialnym rządcą narodu. Uczynił to na polu Marsowem wobec wojska i gwardyi narodowej dnia 5 grudnia 1830 r.

Większość narodu przyjęła tę dyktaturę z największym zapałem, a starzy ludzie mówili:

— Dyktatura przypomina nam niejako powstanie Kościuszkowskie, nowa organizacya może być szybko w

---

[1]) *Grenadyersy*, przez Szwedów wprowadzeni żołnierze ciskający granaty (granatyerzy), byli to wyborowi piesi żołnierze, należące zazwyczar do gwardyi przybocznej monarchów.

[2]) *Szaserzy*, z franc., strzelcy piesi lekko uzbrojeni.

[3]) Lewicki, 436—439; Limanowski, 140 i nast.

[4]) Anarchia, z greck., bezrząd, nieład, bezprawie.

ma „Rosija" wykazywała szkodliwość tego stowarzyszenia dla państwa, łatwo więc stąd wyprowadzić wniosek, że napaści na *Macierz* poprzedzają jakieś kroki przeciwko niej w stronę rządu. Zarzuty są zbudowane w ten sposób, iż na karb działalności legalnego stowarzyszenia *Macierzy*, pismo rosyjskie kładzie różne przedsięwzięcia nielegalne prowadzone przez tak zwany „Związek unarodowienia szkół" ludzi pracujących nad nauczycielami szkół ludowych i t. p. *Macierz* zajmuje się oświatą i zakładaniem prywatnych szkółek z językiem wykładowym polskim, na co zezwala prawo, do stowarzyszenia tego należy bardzo wielu mieszkańców kraju, a wszyscy pilnują tego, by się w Macierzy nie zajmowano polityką, wszelkie więc zarzuty urzędowego pisma rosyjskiego są wyssane z palca i fałszywe.

Rozpoczęto wreszcie aresztowanie osób podejrzanych o działanie źle widziane przez rząd rosyjski. W Warszawie przed kilkoma dniami wzięto do cytadeli p. Aleksandra Zawadzkiego, podobno za to, że kiedyś, przed kilkoma miesiącami zamieścił w „*Gońcu*" artykuł, w którym dowodził, że w szkołach ludowych powinno być wszystko wykładane po polsku. Z kaliskiego dochodzi wiadomość o aresztowaniu b. posła do Izby państwowej, p. Suchorzewskiego, obywatela z pow. konińskiego.

Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało okólnik do gubernatorów w Królestwie, by bacznie śledzili działalność związków zawodowych robotniczych i w razie wykrycia zależności tych związków od socyalnej demokracyi, natychmiast te związki zamykali. Nasz ruch zawodowy powstał jako reakcya przeciwko bezmyślnej działalności socyalistów i mimo krótkiego istnienia zapowiadał doskonały rozwój. Obecnie bezmyślne rozporządzenie ministrów może zatamować pracę naszych związków trzymających się zdala od polityki i bezpartyjnych, bo miejscowi urzędnicy są zbyt głupi na to, by się rozumieć na pracy związków i być może, że „dla pewności" będą woleli utrudnić istnienie związków zawodowych wogóle.

Z powyższego widać, że rząd rosyjski szybko bardzo zdąża do tego, by przywrócić we wszystkiem dawny stan, by skasować te wszystkie ustępstwa, które w czasach dla siebie ciężkich był zmuszony porobić. Dla nas te ustępstwa wyrażały się w tem, że wolno nam było zakładać stowarzyszenia dla pracy kulturalnej, dla podniesienia oświaty, rolnictwa i t. d. Teraz to wszystko wydaje się rządowi szkodliwem i powoli zabrania jednego za drugiem.

Rząd się nie myli, widząc, że działalność stowarzyszeń wzmacnia siłę narodu polskiego, bo wytwarza większą spójnię w społeczeństwie. Ale zakaz stowarzyszania się i prowadzenia pracy legalnej i jawnej, wzburza całe społeczeństwo, zmusza je do robienia tych rzeczy tajnie i nielegalnie, wreszcie wytwarza grunt dla działalności socyalistycznej, dla anarchii i terroru.

Jeśli rząd pójdzie zatem po tej drodze dalej, to nam wyrządzi wielką krzywdę, ale jednocześnie wytworzy materyał na nową „rewolucyę," społeczeństwem zdezorganizowanem, pozbawionem wszelkich praw i możności pracowania dla poprawienia warunków swego bytu, można rządzić tylko przy pomocy siły fizycznej. Siła zaś fizyczna nie może być na długo sposobem rządzenia — o tem zdaje się zapominają Stołypin i jego towarzysze.

Tej właśnie głupocie ludzi rządzących w Rosyi należy zawdzięczać to, że wrzenie nieprędko się tu skończy, że po okresie gwałtów ze strony rządu nastąpi okres wybuchu niezadowolenia ze strony narodu rosyjskiego, który znowu rząd będzie uśmierzał krwią i żelazem.

Nie oczekujemy więc tutaj, by się

---

całym kraju zaprowadzona, i teraz rozpoczną się kroki stanowcze, zaczepne, walka zbrojna!

I na cześć dyktatora rozlegały się radosne okrzyki a pośród nich było słychać głosy:

— Na Litwę, na Litwę! Zaczepnie działać, tak jak robił Napoleon!

A przenikliwy książę Lubecki mówił:

— Pochód na Litwę uratowałby powstanie polskie i spełniłoby się gorące pragnienie nasze połączenia Litwy z Polską!

Dla bezpieczeństwa dyktatora utworzyła młodzież wraz z profesorami straż honorową. Ażeby zmniejszyć wielką odpowiedzialność, jaką na siebie brał dyktator, zachował przy sobie rząd tymczasowy jako *Radę Najwyższą*.

Józef Grzegorz Chłopicki (ur. w r. 1771 na Podolu) był jeszcze w wojnach Legionów wielce zasłużonym oficerem, potem odznaczył się w wojnach Napoleońskich przy zdobyciu Saragossy, pod Smoleńskiem i Moskwą, był ranny, został generałem. Francuzi nazywali go *brave de braves* t. j. waleczny z walecznych. Był on jednak pokrzywdzony przy nagrodach i doznawał niełaski w. ks. Konstantego. Chociaż przez opinię publiczną jako najzdolniejszy generał przeznaczony na naczelnego wodza powstania wojskowego, nie posiadał on zdolności na naczelnika narodu w takim czasie a był przytem uparty i popędliwy.

— Nie wierzę wcale temu — mówił stanowczo — aby Polska zdołała się wybić na wolność, ani nawet temu, aby przyłączone zostały do Księstwa Kraje Zabrane!

Obejmując naczelną władzę chciał tylko przywrócić porządek wewnątrz kraju i uratować Konstytucyę Królestwa, chciał stoczyć bitwę i pokonać Rosyan a potem, opierając się na Konstytucyi wejść w korzystne dla Polski układy z Rosyą. I rzeczywiście silną dłonią objął Chłopicki rządy, zakazał zbierać się Klubowi, który na jego rozkaz rozpędziła młodzież akademicka, i przywrócił spokój publiczny. Nie zajął się jednak uzbrojeniem całego kraju, co było najważniejszym jego obowiązkiem, nie pozwolił, aby się tworzyły oddziały partyzanckie, nawet niechętnie przyjmował ochotników przybywających z Poznańskiego, Galicyi, Litwy i Rusi, a co najważniejsze, rozpoczął układy z rządem rosyjskim, których to układów za wszelką cenę żądali także inni wybitni mężowie Polski, jak Czartoryski i Koźmian. Wysłani przez Chłopickiego w celu układów Lubecki i Jezierski mieli żądać przywrócenia w całości konstytucyi z r. 1815, jakoteż, gdyby to było możebne, przyłączenia Litwy i Rusi do Królestwa. Sam zaś Chłopicki usprawiedliwiał się, pisząc prawie błagalnie w liście do cara:

— Najjaśniejszy Panie, musiałem przyjąć dyktaturę z obawy, ażeby władza nie dostała się do rąk agitatorów i burzycieli!

Zaraz też dał się spostrzedz pewien rozdźwięk pomiędzy naczelnikiem a narodem.

5. *Sejmy 18 grudnia 1830 r. i 17 stycznia 1831 r.*

Sejm zwołany dnia 18-go grudnia 1830 r. pod laską Władysława Ostrowskiego *uznał powstanie za narodowe*, a to nie podobało się Chłopickiemu, bo utrudniało mu układy jego z Rosyą. Dlatego bezzwłocznie dyktaturę złożył w ręce sejmu i dopiero na usilne prośby, po długim oporze, przyjął ją znowu pod warunkiem, że sejm zaraz się rozejdzie; ledwie też zezwolił, aby obok niego była ustanowiona deputacya sejmowa t. z. *Straż* z 15 członków

stosunki ustaliły, jesteśmy przygotowani na różne zmiany i niespodzianki. Pracujemy tylko nad tem, by wyrobić jaknajwiększą solidarność w narodzie, by czyny jego były świadome i obmyślane wobec wszelkich wypadków.

Przydałoby się nam tutaj w Królestwie coś z tej rozwagi i stanowczości, jaka się wyrobiła w rodakach naszych pod Prusakiem. *S. B.*

Przegląd polityczny.

Z Marokku dochodzą w ostatnich dniach wieści o tyle uspokajające, że na razie o dalszych wzajemnych ostrzeliwaniach w Cassablanca mowy nie ma. Czy jest to już trwały spokój, o tem oczywiście należy mocno powątpiewać, tem bardziej, że na czele ruchu antyeuropejskiego stoi Ma-el Ajnin, szeryf czyli święty albo nauczyciel koranu. Jego to ręka podobno kierowała także poprzedniemi ruchami przeciwko Francyi.

Nie jest on udzielnym władcą, ale czemś więcej, niż niejeden z urzędowych książąt. Imię jego jest znane i czczone od Senegalu do brzegu morza Śródziemnego; ma on tam całe rzesze uczniów i zwolenników, którzy na każde jego skinienie gotowi są skupić się w wojownicze hordy i rzucić się na tego, kogo im wskaże szeryf.

Ma-el-Ajnin pochodzi z wielkiej rodziny w zachodniej Sacharze, owego centrum nauki muzułmańskiej w Afryce. Szeryf ma opinię wielkiego uczonego; wydał on i ogłosił w Fezie 12 tomów swoich dzieł, zawierających prace z dziedziny prawa, teologii, sufiamu (mistyki koranu), astrologii i gramatyki; mówią jednak, że napisał on dotąd przeszło 50 tomów.

Obecny maghzen, jak niegdyś ojciec jego, otacza Ma-el-Ajnina wielką czcią. Szeryf był wielokrotnie przyjmowany w Fezie z wielkiemi honorami. Podczas ostatniej podróży szeryfa do Fezu, wszystkie miasta otrzymały rozkaz złożenia mu znacznych sum i podejmowania jego oddziału z największą gościnnością. Te właśnie pieniądze zostały użyte na organizacyę kampanii, której pierwszym objawem było zamordowanie francuskiego lekarza Mauchampa.

Uczniowie Ma-el-Ajnina stanowią religijne bractwo, do którego podobno należy sam sułtan. Maurowie nazywają ich „braćmi niebieskimi,“ ponieważ noszą oni odzież tej barwy, a że nigdy się nie myją, więc mają i skórę zabarwioną na niebiesko. Ludność tubylcza ma dla „braci niebieskich“ uczucie fanatycznej czci, połączonej jednak ze wstrętem.

Ma-el-Ajnin przebywał stale w Saget-el-Homra, okolicy uważanej dotąd za nieprzystępną. Dziś jednak misyonarze francuscy (mechoryści), wędrując po całej pustyni, wynaleźli drogę z Tuatu do wybrzeża atlantyckiego. Z drogi tej łatwo już będzie dotrzeć i do Homry. A uczynić to trzeba będzie koniecznie, gdyż panuje przekonanie, że dopóki Ma-el-Ajnin będzie miał swobodę działania, dopóty nie nastąpi spokój w Maroku.

Niemcy-Prusy. Kilku posłów ze stronnictwa wolnomyślnego jak Naumann, Schrader i inni poruszają opinię niemiecką do walki przeciwko trójklasowym wyborom posłów do sejmu pruskiego. Uważają oni ten sposób wyborczy za zanadto przestarzały, ażeby mógł się jeszcze długo utrzymać. Stósunek Rzeszy do Prus i odwrotnie uważają za wręcz nienaturalny, tam system tajny, powszechny, równy — tutaj jawny, klasowy, nierówny. Ludność to musi zrozumieć, a pod jej naporem rząd będzie zmuszony ustąpić.

I mybyśmy się szczerze cieszyli, gdyby żądanie to stało się faktem. Ustałyby nareszcie rządy junkrów pruskich, którzy za dobrą zapłatę gotowi

---

z prawem złożenia go z najwyższej godności, gdyby się z nim nie zgadzała (20 grudnia).

Tymczasem w kraju rósł powszechny zapał do wojny i wszędzie odjawiała się gotowość do poświęceń dla ojczyzny. Zwiększała się armia narodowa, szła do niej tłumnie szlachta, mieszczanie i chłopi. Wstępowali znów w szeregi dawni wysłużeni żołnierze. Na ratuszu warszawskim zajaśniał wspaniały Orzeł Biały z takim dwuwierszem:

„Witaj jutrzenko swobody,
Za tobą nadziei słońce!“

Jakby pod skrzydłami tego Orła Białego ustawiały się w szeregi *Dzieci Warszawskie* t. j. pułk piechoty i pułk jazdy, wystawione przez miasto Warszawę. Patryotyczny biskup krakowski Karol Skórkowski zagrzewał duchowieństwo do działania rozsyłanemi gorącemi odezwami.

Lecz zachmurzyło się nad Polską niebo. Dnia 7-go stycznia 1831 r. przywiózł z Petersburga groźne dla Polski wiadomości adjutant dyktatora, Wyleżyński. O żadnych ustępstwach nie chciał słyszeć surowy car Mikołaj i Polacy z przerażeniem słuchali, że armia rosyjska kroczy już do Królestwa i czytali następne surowe słowa manifestu carskiego:

— Rozkazuję, aby natychmiast powstanie się rozbroiło, a za to obiecuję odróżnić winnych od niewinnych!

Teraz odżył klub na nowo i zawiązał nawet sprzysiężenie przeciwko Chłopickiemu, a Straż nastawała na stanowcze działanie dyktatora; on więc w odpowiedzi na to zwołał sejm i złożył po raz drugi dyktaturę w ręce Straży (17 stycznia 1831 r.)[1].

— W chwili najgroźniejszej opuścił nas wódz jedyny! — rozległ się teraz powszechny po kraju głos żalu i niepokoju.

I znowu wracała najwyższa władza do sejmu, który zebrał się dnia 19 stycznia 1831 r. pod laską Władysława Ostrowskiego i obradował już do końca powstania. Za radą Chłopickiego wybrano naczelnym wodzem ks. Michała Radziwiłła. Na wniosek posła Romana Sołtyka rozległy się pełne zapału okrzyki:

— Niema Mikołaja!

I uchwalił sejm *detronizacyę*[2]) *cara Mikołaja* 25-go stycznia 1831 r.), ogłaszając odpowiedni następujący akt, skreślony przez Niemcewicza:

— *Naród polski jest niepodległym i ma prawo koronę polską oddać temu, kogo uzna jej godnym, po kim z pewnością będzie mógł spodziewać się, iż mu zaprzysiężonej wiary i zaprzysiężonych swobód święcie i bez uszczerbku dochowa!*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) — Jenerale zawołał wtedy Czartoryski — przestając być dyktatorem zostaniesz przecież naczelnym wodzem armii!

— Byłbym [illegible], gdybym to zrobił! — krzyknął Chłopicki.

— Jako Polak powinieneś służyć ojczyźnie! — wpadł w słowo Ledóchowski — i my mamy prawo to ci nakazać!

A na to zawołał gniewnie Chłopicki:

— Tak, będę *służył* ojczyźnie jako prosty żołnierz, ale także i ty, panie Ledóchowski!

— Bardzo chętnie odrzekł tenże i dotrzymał słowa. — Limanowski, 153.

[2]) Detronizacya, z franc., *złożenie z tronu*; tu rozumie się z tronu polskiego.

są zawsze do popierania i najohydniejszych w sprawie polskiej wniosków rządowych.

Francya. Ciekawy wypadek wydarzył się w *Rochefort* przy odsłonięciu pomnika dla *Grimaux*, członka instytucyi dla Francyi. Minister wojny wygłosił przy tej okazyi mowę, w której podkreślił ścisły związek wojska lądowego z morskiem, które obecnie do spółki tak śmiało wykonują swój obowiązek w Marokku. Potem podniósł minister udział Grimaux'a w procesie rewizyjnym Dreyfusa. Gdy minister wkrótce potem wsiadał do pociągu, schwycił go za ramię jakiś mężczyzna przyzwoicie ubrany, wołając: tyś jest minister Picquart; dobrze, niech żyje marszałek. Nieznajomy podobno usiłował równocześnie ministra opluć. Minister jednakże silnie go odtrącił. Publiczność napastnika chciała ubić. Uratowała go policya zabierając go do aresztu. Ma to być człowiek obłąkany. Nazywa się Lecoq, pochodzi z Konstantynopolu. Miał przy sobie znaczną sumę pieniędzy i klejnoty.

Rosya nie jest krajem nieograniczonych niespodzianek, ale za to klasycznym krajem nieograniczonych oszustw i zdzierstw już to urzędników samych już to urzędników do spółki z kimśkolwiekbądź.

Obecnie znajduje się na ukończeniu śledztwo, które podjęte zostało na skutek skargi jednego z urzędników kolei transbajkalskiej. Kolej ta odgrywała i w czasie wojny japońsko-rosyjskiej pewną rolę.

Otóż na tej kolei urzędnicy zorganizowali bandę oszukańczą do spółki z kupcami. Kupcy sprowadzali towary, urzędnicy je wydawali, często na jeden list frachtowy wydawali towary kilkakrotnie, a potem o brakujące kazali wnosić skargi o odszkodowanie. Tem odszkodowaniem dzielili się następnie z kupcami. Często towarów wogóle nie wydawali, pomimo, że towary nadeszły, ale odszkodowanie płacono. W czasie rewizyi znaleziono mnóstwo towarów po śpichlerzach kolejowych, za które kolej odszkodowanie płaciła. Suma, na którą na różny sposób skrzywdzono skarbiec państwa, dochodzi do przeszło 20 milionów rubli. Urzędników odnośnych czeka oczywiście kara, albo — kto wie — może zostaną uniewinnieni. I to w Rosyi jest możliwe.

Kto wie, czy ten rak toczący moralne podstawy państwa rosyjskiego, nie jest stokroć gorszy od poczynającej się szerzyć w okolicach sa-woltańskich cholery!...

W Ameryce wybuchnął strejk — telegrafistów. Żądają oni podwyższenia płacy i naprawy warunków pracy. Po stronie strejkujących oświadczyły się solidarnie największe organizacye zawodowe, które posiadają około 5 milionów dolarów. Strejk rozszerzył się już na przeszło 50 miast. Giełda waszyngtońska już ogromnie przez strejk ucierpiała. Zdaje się, że przy imponującej wprost solidarności, jaka się objawia wśród wszystkich pracobiorców amerykańskich, a z drugiej strony skutkiem niezbędnej potrzeby telegrafu w życiu ekonomicznem telegrafiści uzyskają to czego pragną.

Przegląd prasy.

W sprawie wywłaszczenia zachowują pisma nasze przeważnie stanowisko referujące. Donoszą szczegóły o przebiegu tej sprawy w prasie niemieckiej, potępiają projekt sam, jednakże nie mogą się oprzeć przeświadczeniu, że sprawa dla nas obecnie stoi bardzo niekorzystnie. Projekt rządowy ma widoki zdobycia sobie większości sejmowej, a więc stania się „prawem."

Pisma te, do których zaliczają się także „Praca" i „Kurjer Poznański" nie zalecają w tej sprawie podejmować akcyi wiecowej, bo nie wierzą, żeby akcya ta jakikolwiek wywarła wpływ na tok sprawy projektu wywłaszczenia. Wiece te naszem zdaniem mogłyby, jak to zresztą niejednokrotnie się działo, dać nową broń rządowi w rękę przeciwko nam.

Otóż dla tego, że uważamy akcyę tę za bezowocną, że pouczeni doświadczeniem, że mamy do czynienia z przeciwnikiem, dla którego nie istnieją żadne względy, że przeciwnik ten z akcyi tej gotów ukuć argument *„za"* wywłaszczeniem — dla tego nie doradzamy do wieców, do protestów.

Stanowisko to nasze nie podoba się *„Dz. Kuj."* A że niema żadnych argumentów na odparcie przekonywujących wywodów naszych, więc też wcale się na to nie sili, lecz od razu sięga po łatwiejszą broń. Robi nam *zarzuty*, i to jakie zarzuty! — więc, że

„z niemą rezygnacyą *nadstawiamy plecy* na bandyckie i zbójeckie razy krzyżackie, że takie głosy prasy są najlepszym dowodem na to, jak daleko postąpiło już u nas ogłuszenie nasze przez walący ciągle w nas młot praw wyjątkowych pruskich, że już *przed bitwą chcemy* złożyć broń z niemą rezygnacyą *przyznając się do własnej niemocy. Smutny to objaw duchowej odwagi „demokratów" poznańskich. Nie jest to po ludowemu, zwątpić o dobrych skutkach obrony ludowej i wydawać ten lud na łaskę i niełaskę wrogów."*

Przyznamy się szczerze, że nie pytaliśmy się o to, czy „jest to po ludowemu," uważać w tej sprawie wiece za środek bezskuteczny. Chodziło nam raczej o to, co jest lepiej i rozumniej I stósownie do tego wypowiedzieliśmy nasze zdanie, którego uwagi „Dzien. Kuj." zmienić nie zdołały.

Nie odpowiadamy też na zarzuty „Dz. Kujawskiego." Nie zasługują one na spokojną odpowiedź — a na polemikę szkoda nam „czasu i atłasu."

* * *

Sprawa polska była jednak przedmiotem obrad zjazdu Wilhelma II i Mikołaja II. Zdradził tę wielką tajemnicę, której trzeba się było spodziewać, „Pos. Tagebl." Nie spodziewaliśmy się tylko, że sprawa polska mogłaby być najważniejszym punktem obrad obu monarchów. Wiadomość tę przygwoździła wiedeńska *„Polnische Post,"* pismo polskie wydawane w języku niemieckim dla informacyi Niemców austryackich w sprawach polskich. W artykule swoim podnosi „Polnische Post" szczególnie, że „Pos. Tagebl." jest „organem naczelnego prezesa Waldowa," że stoi on pod nadzorem prezesa rejencyi Krahmera, że stałymi jego współpracownikami są prezydent policyi Hellmann i radca policyjny Zacher — a więc, że wiadomości jego o obradach nad sprawą polską zasługują na wiarę.

„Pos. Tagebl." szybko naturalnie zaprzecza teraz podanej przez siebie wiadomości i najbardziej gniewa się na to, że „Poln. Post" nazwała go organem Waldowa etc. W swem oburzeniu zapomina „Pos. Tagebl." o tem, że my tutaj wszyscy dobrze wiemy o tem, że „Poln. Post" napisała prawdę. Nie dziw więc, że rzekomą obroną swoją całkiem się zasypuje. Dla charakterystyki „Pos. Tagebl." obronę tę tutaj podajemy:

„Polnische Post" nazywa „Pos. Tageblatt" organem naczelnego prezesa Waldowa, że jako taki stoi on pod bezpośrednim nadzorem prezesa regencyi Krahmera, i że do jego stałych współpracowników należą prezydent policyi Hellmann i radca policyjny Zacher. Ażeby złośliwość tych wieści słusznie ocenić, trzeba znać zwyczaje prasy austryacko-słowiańskiej. To nie ma oznaczać nic innego jak tylko to, że „Pos. Tageblatt" nie jest organem niezależnym, lecz pismem niewolnem, od rządu zależnem. To jest taki nędzny wynalazek, że pozostawiamy go bez zawiści pismu polskiemu, które zresztą ma pretensyę do przyzwoitości prasowej."

Dziwna rzecz, jak szczerą prawdę tutaj „Pos. Tagebl.“ napisał. To też to, co rzekomo na swą obronę przytoczył, służy tylko jako argument przeciwko niemu. W prasie polskiej w dzielnicy naszej nie od dziś żyje przekonanie, że „Pos. Tagebl.“ jest organem rządowym, zależnym, a kursują i wieści, które przekonanie to potwierdzają. Lepiej byłby „Pos. Tagebl.“ zrobił, gdyby się przynajmniej w taki sposób — nie był bronił.

* * *

Od dwóch tygodni podawały pisma nasze wiadomość, że w Turzy na hubach odbędzie się wiec „Straży.“ Nas wiadomość ta bardzo cieszyła. Domyślaliśmy się, że to będzie szczególnie wiec dla gospodarzy naszych, że odbędzie się w chacie wiejskiej. Były wszelkie dane po temu, żeby wiadomość o tym wiecu uczynić sympatyczną.

Tymczasem cóż się dzieje? *„Goniec Wielkopolski“* pisze o tem, że gospodarz Chęś, który przyobiecał dać na wiec dom swój do dyspozycyi,

„po przybyciu na miejsce komisarza Straży pana Laskowskiego z Mokronosa wraz z mówcą z Poznania nie raczył nawet wyjść, a drzwi domu były zamknięte. Wyszedł dopiero na prośbę pana Laskowskiego, a zapytany o powody odmówienia lokalu, dawał rozmaite odpowiedzi. Raz twierdził, że synowa jest chora, bo ma opuchnięte gardło, to znów, że pana L. już przed tygodniem uwiadomił, iż na wiec nie pozwoli, a gdy pan L. mu przedstawiał, że tak żona jak synowa mu oświadczyły, iż rzecz jest w porządku, oświadczył, że one nic nie mają do rządzenia. Nie pomogły żadne perswazye, a wreszcie p. Chęś ostrym tonem począł grozić i podał jako powód do odmowy lokalu i to, iż w gazetach wydrukowano zamiast Chęś — błędnie Hędzia, czem się wielce czuł dotknięty!......

W ciągu tej rozmowy przybyli na wiec obywatele ziemscy pan Sławoszewski z żoną i rządzca p. Górski z Staręzyna, którzy starali się również wpłynąć na p. Chęsia, aby nie czynił zawodu w ostatniej chwili, ale i ich łagodne słowa natrafiły na opryskliwe odpowiedzi.

Nie było więc rady, wiec się odbyc nie mógł. Przybyli rozjechali się i rozeszli spokojnie.

Skonstatowano, że u p. Chęsia był uprzednio komisarz obwodowy i odbył z nim konferencyę. Co rozmawiali, oczywiście stwierdzić nie było można.“

Po przeczytaniu tej wiadomości zapewnie niejeden z tych, co tak głośno i tak chętnie i pięknie mówią o „uświadomieniu narodowem wśród ludu“ — z nieba spadnie. Niestety takich Chęsiów jest dużo jeszcze. Z całego doniesienia „Gońca Wielk.“ przebija jedno, że główną rolę u Chęsia odgrywała obrażona ambicya. Niedawno temu pisma polskie doniosły, że turzańskie Kółko rolnicze sprosiło kolonistów na swoją zabawę, i że do spółki z nimi śpiewali gospodarze polscy niemieckie pieśni. Czyżby Chęś czuł się współwinnym tego zaproszenia i śpiewania owych pieśni niemieckich?

Czy tak, czy nie, czy p. Chęś czuje się obrażonym, czy nie, czy będzie się jeszcze bardziej czuł obrażonym, pisma polskie zajścia z ostatniej niedzieli nie mogą pomijać milczeniem. Że zaś to zajście w oczach ludzkich p. Chęsiowi zaszczytu nie przysporzy, to już nie nasza rzecz.

* *

Na G. Śląsku, w Król. Hucie w kopalni rządowej, wybuchł przed 2 tygodniami strejk górników. Strejk zakończył się klęską robotników. 500 ludzi kopalnia pozbawiła chleba i pracy, mszcząc się za to, że śmieli podnieść głos o polepszenie swej doli.

Wykazuje się teraz po niewczasie, że strejk wywołali socyaliści, ażeby przeciwdziałać ruchowi narodowemu. Obecnie winę za nieudanie strejku zwalają na związek bytomski i posła Korfantego. Ale poseł Korfanty daje im w *„Polaku“* taką odprawę:

„Tylko głupi człowiek, który nie ma ani szczypty rozumu, uwierzy tym kłamstwom socyalistycznym. Związek bytomski i p. Korfanty oświadczyli wyraźnie, że żałować należy, iż strajk wybuchł nieprzygotowany, nagle, i że robotnicy bez wypowiedzenia rzucili pracę. Tę ostatnią okoliczność będą kapitaliści wyzyskiwali przeciwko robotnikom. Ale ponieważ strajk stał się faktem, ponieważ położenie robotników jest straszne, należy uznać strajk jako legalny, należy go poprzeć wszelkiemi siłami, aby uzyskać choć jakie takie korzyści. Sosyaliści postawili takie ostre warunki kapitalistom, że ci się w naszych warunkach nigdyby nie zgodzili na ich przyjęcie. Socyaliści wiedzieli o tem już dobrze z góry, ale stawiali je dla tego, bo mogli za pomocą tych wygórowanych warunków dobrze agitować dla swej partyi, a co tam się robotnikom stanie, o to się nie troszczyli, grunt, aby im się dobrze powodziło.

To też związek wzajemnej pomocy zalecał wybrać drogę legalną, dla tego radził, aby z kapitalistami układać się tylko za pomocą mężów zaufania legalnie obranych, co tem bardziej się zalecało, że tylko nieznaczna część górników należy do organizacyi. Tę drogę należało i dla tego obrać, by naprawić krzywdę, wyrządzoną robotnikom przez socyalistów, którzy pomieszali sprawę strajku z polityką socyalistyczną. Mężom zaufania kapitaliści nie mogli powiedzieć, że są agitatorami socyalistycznymi. Dla tego też minister handlu odrazu odpowiedział telegraficznie na żądania strajkujących zebranych na wiecu zwołanym przez związek, że skargi i żądania robotników dokładnie zbada.

Gdyby nie podła robota socyalistów, możeby się było dało coś uzyskać dla robotników mimo braku organizacyi, ale socyaliści całą sprawę popsuli i strajk do niesłychanego doprowadzili upadku.“

Nowy to dowód, ile w tem prawdy, co głoszą socyaliści, że im chodzi o dobro robotnika. Nie o to dobro robotnika im chodzi, ale o dobro partyi. Ale nic dziw, że po ostatnich cięgach nawet w taki sposób starają się o odzyskanie swoich strat, temu byśmy się jednak dziwili, gdyby górnicy górnośląscy, po takich próbach zawsze jeszcze dali się socyalistom bałamucić.

Losy Korei.

Wspomnieliśmy już, że Korea traci już swoją samodzielność, że zabierają ją na własność Japończycy i że dzieje się to w chwili, kiedy na jednym krańcu olbrzymiego europejsko-azyatyckiego kontynentu radzą o odsunięciu niebezpieczeństw i klęsk wojny, kiedy rozprawiają o sądach rozjemczych zamiast rozpraw orężnych. — W tej chwili tam, na drugim krańcu wali się w gruzy całe państwo, bo jest niedołężne i bezsilne, bo nie ma na obronę zbrojnego ramienia, lecz tylko argumenty legitymistyczne i humanitarne. Stary cesarz koreański uciekł się do areopagu, który samem istnieniem staje się przeczyć zasadzie: siła przed prawem. Jego posłowie przybyli do Hagi, ażeby tam u zgromadzonych przedstawicieli całego świata politycznego szukać sprawiedliwości na jarzmo japońskie, którego ofiarą padła Korea. Misya ta przyniosła najfatalniejszy rezultat: posłów koreańskich na konferencyę nie dopuszczono, a sam cesarz apelacyę do trybunału haskiego przypłacił utratą korony.

Jego syn i następca musiał rozpocząć swe panowanie od podpisania traktatu, którym właściwe rządy przekazuje rezydentowi japońskiemu. Traktat składa się z 7 artykułów, ale mógłby być wyrażony w tym jednym bez zmiany treści, że Korea przechodzi ostatecznie pod władzę Japonii i jej cesarz schodzi do roli honorowanego manekina.

Wszystko to nie stanowi właściwie żadnej niespodzianki. Dla opanowania Korei prowadzili Japończycy dwie wojny i oczywiście chcą teraz zebrać owoce swoich zwycięstw. Umowa pokojowa z Rosyą, a jeszcze wy-

raźniej umowa sprzymierzeńcza z Anglią, przewidują rozgospodarowanie się zwycięzkich wyspiarzów na półwyspie, który tak długo był celem ich pożądań. Można było jedynie stawiać pytania, w jakim tempie pójdzie panowanie japońskie i gdzie się zatrzyma. Czy Japończycy zadowolnią się protektoratem i ogólnemi reformami, czy też pójdą dalej w kierunku zupełnego przywłaszczenia?

Ostatni krok gabinetu tokijskiego świadczy w każdym razie, że Japończycy chcą stanąć na półwyspie mocną nogą. Że nie poprzestaną na protektoracie, to już obecnie nie ulega wątpliwości. Dzienniki angielskie, zazwyczaj dobrze poinformowane w sprawach Dalekiego Wschodu, twierdzą, że i nowy cesarz podzieli los ojca, a po nim nastąpi już nie cesarz, lecz namiestnik mikada. Zdaje się atoli, że Japończykom obecny nieudolny i słaby następca zdetronizowanego cesarza mało będzie zawadzał, i że margrabia Ito dzisiaj już może się uważać za faktycznego namiestnika swojego monarchy.

Sytuacya międzynarodowa w wysokim stopniu sprzyja bezwzględnej polityce względem Korei. Żadne z mocarstw nie podnosi najlżejszego protestu, Anglia i Francya związane z Japonią umowami, wyrażają nawet aprobatę. Nawet t. zw. *opinia europejska* (!) uznaje, że wszystko jest w porządku i że Korea sama sobie winna. Za naszej pamięci żaden chyba zabór kraju zaludnionego i mniej więcej kulturalnego nie spotkał się z tak ogólną aprobatą lub obojętnością, jak to się stało z Koreą, i niewątpliwie świadczy to o wysokich przymiotach dyplomacyi japońskiej, która umiała odpowiednie warunki wytworzyć i z innych umiejętnie skorzystać.

Największe trudności może napotkają Japończycy na samym terenie koreańskim. Chodzi przecież o naród starej kultury, niemniej starej jak japońska. Zapewne trudno będzie te miliony kulturalnego ludu pogodzić z obcem panowaniem. Zresztą mało wiemy nietylko o usposobieniu narodu koreańskiego, lecz o takich rzeczach, jak liczba ludności. Angielski „Statesman's Year-Boak“ podaje ją na 10—12 milionów. Inne źródła podnoszą ją do 20 milionów, a znowu inne zniżają do 8 a nawet 6 milionów. Oczywiście widoki panowania japońskiego i kolonizacyi zależą przedewszystkiem od tego, która z powyższych liczb jest najbliższą prawdy. Tem trudniej ocenić właściwości ustroju społecznego oraz inne czynniki, które mogą ułatwić lub utrudnić Japończykom ich zadanie.

Margrabia Ito oświadczył, że reformy, które pod jego kierunkiem mają być przeprowadzone, wyjdą na korzyść mas ludowych i że masy te będą wiedziały, komu je zawdzięczają. Niewątpliwie w rękach japońskich zdobywców znalazł się atut, który zazwyczaj okazywał się groźnym dla narodów ujarzmionych. Pytanie tylko, o ile dzieło reform powiedzie się podwładnym margrabiego Ito.

Korea oprócz swych bogactw naturalnych dla widoków zdobywczej polityki japońskiej posiada jeszcze znaczenie kraju niezmiernie ważnego pod względem strategicznym. Kto go posiada, już stoi mocno na lądzie Azyi. A prócz niej mają jeszcze Japończycy półwysep Kwantung z portem Artura. Jeżeli zaś okaże się prawdziwą wieść, że na mocy obecnie toczących się układów, Rosya skłania się do rozszerzenia sfery wpływu japońskiego w Mandżuryi (wzamian za wpływy rosyjskie w Mongolii), to Japonia stanie się wkrótce silnem lądowem państwem.

T. G.

Listy od Przyjaciół.

O naszej ofiarności.

Z Prus Zachodnich otrzymaliśmy przed niedawnym czasem wiadomość o odbytym ślubie, weselu, o składce w czasie uczty weselnej. Podpadło jednemu z czytelników naszych, że składka ta wypadła tak mała i pisze nam dla tego między innemi w tej sprawie co następuje:

Z Prus Zachodnich.

Proszę o mały kącik dla kilku słów w Waszem piśmie.

W odpowiedziach swoim korespondentom uskarża się nieraz „Praca“, że ma za mało miejsca, ażeby nawet ważne dla ogółu wiadomości umieszczać. A jednak w No... umieszcza sporą wiadomość z... o odbytem tamże weselu. Toć wesół takich bardzo wiele; a cóż z tego za pożytek ma społeczeństwo? Ale zwyczajnie uczestnik wesela przez „wdzięczność za zaprosiny“ chciał się tem publicznem doniesieniem odwdzięczyć. Wymienia też i składkę, której zebrano na narodowy cel — 8,20 mk. Owemu korespondentowi może suma owa wydaje się bardzo wysoka, a ja myślę, że, jeżeli owo wesele takie było, jak korespondent pisze, to owe 8,20 oznacza drobnostkę. Podług mojej oceny na cel tak pieknych*) datki owe tak powinny by wypaść: pan młody 3 mk., panna młoda 2 mk., teść 2 mk. i inicyator składki 1 mk. To już jest 8 mk. Zdaje mi się, że czytelnicy „Pracy“ podzielą ze mną to zdanie, że ofiara taka nie byłaby zbyt wygórowaną, a więc dla owych „licznie zebranych“ gości jużby nic nie zostało.

Widocznie dawali tam wszyscy, ale dawali po 10 i 20 fen., wyjątkowo może kto dał 50 fen. Inaczej owa składka wypadłaby obficiej.

Sens moralny jest z tego ten: jeżeli dajemy na jakiś cel szlachetny, to dawajmy nie dla oka, ale ze serca.

Przyznam się, że mnie owa korespondencya wcale nie zadowoliła. Bo jak się chwalić, to trzeba mieć się czem pochwalić, a ów korespondent nie miał się czem pochwalić.

Rzemieślnik wioskowy.

Od Redakcyi. Korespondencyę tą umieściliśmy raz dla tego, że piszący tak szpetnie nam przymówił o nieumieszczania rzekomo ważnych a umieszczaniu wiadomości o ślubach, w jego oczach mniej ważnych — powtóre dla tego, że zawiera ona zdrową myśl. Istotnie jeżeli się ktoś datkiem na szlachetny cel pochwalić chce, to niech też datek będzie odpowiednio suty o ile dający jest na to dostatecznie zamożny. — To nie przeszkadza, że my w przyszłości i z małych datków równie chętnie kwitować będziemy jak dotąd w przeświadczeniu, że: ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Marsz sokołów amerykańskich.

Wygnani z Ojczyzny tułacze mizerni
Tęsknotą za Polską nękani!
My zawsze w niej duchem, zawsze
Matce wierni,
Sokolstwu i Polsce oddani.
Hej Bracia tułacze kto Polak, kto brat
Sokołem być winien od najmłodszych
lat.

Choć w koło roztacza obczyzna swe
wdzięki
I nęci zwodniczym urokiem
Nam w sercu tkwi Polska i synów jej
jęki.
Nie damy się skusić jej wzrokiem.
Dla Polski umierać i dla Polski żyć.
To hasło któremu mamy wierni być.

Ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat,
Na nowe on życia koleje
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się
rad,

*) Na popieranie nauki języka polskiego wśród dziatwy.

I duch i ciało w nim mdleje!
Hej bracia sokoły dodajmy mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył!

W niemocy, senności i ciało i duch
Napróżno się dźwiga i łamie,
Tam tylko potężnym i twórczym jest duch,
Gdzie wola silne ma ramię,
Hej bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat,
Niech skrzydła sokole od młodych ma lat!

Więc razem ochoczo w daleki ten lot,
Sposobić nam skrzydła dla ducha,
Nie złamie nas burza, nie strwoży nas grzmot,
Gdy woli siła posłucha.
Hej bracia kto ptakiem przelecieć chce świat,
Niech skrzydła sokole od młodych ma lat!

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy", prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy" nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Wiec w sprawie Czytelni Ludowych. W niedzielę dnia 18 b. m. odbędzie się w sali p. Loepella w Odolanowie o godzinie 4 po południu wielki wiec celem założenia Towarzystwa Czytelni Ludowych na powiat odolanowski.

Szanownych obywateli z Odolanowa, Sulmierzyc, Raszkowa i powiatu zaprasza ks. J. Rejewski, delegat T. C. L. na powiat odolanowski.

Inne pisma prosimy powtórzyć.

* * *

Zjazd okręgowy Tow. Przemysłowych okręgu poznańsko południowego tworzący miasta: Bnin, Kórnik, Mosinę, Środę, Stęszewo i Zaniemyśl odbędzie się w niedzielę, dnia 18 sierpnia o godz. 5 po południu w Zaniemyślu. — Porządek obrad: 1) Zagajenie i powitanie. 2) Ukonstytuowanie biura. 3) Stwierdzenie przybyłych delegatów i gości. 4) Wykład członka Zarządu Związku z Poznania: Stan rzemiosła — środki podniesienia rzemiosła, szczególna w tym zakresie praca Towarzystw Przemysłowych. 5) Referat prezesa okręgowego: Najważniejsze kwestye współczesne w rzemiośle a organizacye okręgowe. 6) Sprawa przymusowego abonowania Przemysłowca w okręgu. 7) Rezolucya i uchwały. 8) Wyznaczenie przyszłego zjazdu. 9) Wolne głosy. 10) Zamknięcie. O godzinie 2 zwiedzenie wyspy Edwarda i kaplicy tamże.—Na dworcu średzkim będą do dyspozycyi Szanownych Uczestników powózki. — Na zjazd powyższy zapraszamy niniejszem wszelkie Towarzystwa Okręgowe oraz sąsiednie okręgi. Goście i panie mile widziani.

Za Zarząd Okręgowy
Jan Trafankowski, Stęszewo.

* * *

Zjazd Towarzystw Przemysłowych okręgu zachodnio-pruskiego odbędzie się w *Chełmży* dnia 18-go sierpnia 1907. — Porządek zjazdu: Przed poł. o godz. 8. nabożeństwo w kościele farnym; o godz. 10 posiedzenie zarządu i delegatów; o godzinie 12 zwiedzenie miasta; o godz. $1^1/_2$ wspólny obiad. Po poł. o godz. 3 główne zebranie i to: 1) przywitanie uczestników i sprawozdanie zarządu; 2) sprawa organizacyi towarzystw przemysłowych; 3) sprawa wystawy okręgowej; 4) położenie i obrona rzemieślnika i przemysłowca naszego; 5) wykład z dziedziny przemysłu; 6) wolne wnioski.

* * *

Wiec w Zakopanem dla spraw Macierzy szkolnej na Śląsku w dniu 18 sierpnia b. r. o godzinie 3 po południu w sali hotelu „Morskie Oko" odbędzie się według następującego porządku obrad:

1) Zagajenie.
2) Wybór prezydyum wiecu.
3) Referaty w sprawach śląskich: a) dr. Józefa Burka, profesora uniwersytetu lwowskiego i posła do rady państwa; b) dr. Ludomiła Germana, radzcy szkolnego i posła do rady państwa.
4) Przemówienie delegata Macierzy i włościanina z Zakopanego p. Józefa Curusia.
5) Uchwalenie rezolucyi.

Komitet.

* * *

Wiec dla Wyborców powiatu inowrocławskiego odbędzie się w Inowrocławiu na wielkiej sali hotelu Basta w niedzielę, dnia 18-go sierpnia rb. o godzinie 3 i pół po południu.

Porządek obrad: 1. Zagajenie wiecu. 2. Wyrażenie zaufania i uznania byłemu posłowi p. dr. Krzymińskiemu za działalność poselską. 3. Sprawozdanie posła p. mecenasa dr. Dziembowskiego z czynności poselskich. 4. Przemówienie pana Burzyńskiego z Wielkiej Kołudy. 5. Wolne wnioski.

Na wiec powyższy zaprasza Szanownych wyborców

Wyborczy Komitet powiatowy dla powiatu inowrocławskiego.

Z piśmiennictwa.

„Nasz Kraj" Nr. 6-ty tom IV., jak zawsze bogaty w treść i w illustracye tak z chwili bieżącej jak z dziedziny sztuki.

Za rok 1906 wyszło Sprawozdanie Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w W. Ks. Pozn. i Prusach Zach.

Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości Nr. 45 zawiera: Pragnienie; kilka uwag o potrzebie wstrzemięźliwości wśród młodzieży polskiej; — Nasi sprzymierzeńcy; — Wiadomości ze świata; Ziemie polskie; — Rozmaitości. — Korespondencye. — Uwaga.

Wiadomości.

* **Towarzystwo dziennikarzy** urządza swoją doroczną zabawę latową w niedzielę 25-go b. m. w ogrodzie p. Swiderskiego na Wzgórzu św. Łazarza. Czysty dochód z zabawy przeznaczony jest na zasilenie funduszu emerytalnego i zapomogi dla wdów i sierót po redaktorach. Program nader urozmaicony. Bliższe szczegóły podamy następnie.

* **Kapłani polscy w fortecy.** Dnia 8-go b. m. opuścił fortecę w Wisłoujściu pod Gdańskiem ksiądz proboszcz Niedbał z Dubina, w ubiegłą niedzielę ksiądz radca Łabendziński z Tuczna. Obydwaj są ofiarami z czasów strejku szkolnego. W następnych dwóch tygodniach pożegna fortecę ksiądz proboszcz Hertmanowski. 9 tygodni później ksiądz wikary Zaremba.

* **Smutny los polskich redaktorów.** Dnia 8-go b. m. miał opuścić tutejsze więzienie redaktor „Lecha," pan Jan Teska, po odsiedzeniu 6-tygodniowej kaźni, tymczasem zatrzymano go na dalsze dwa tygodnie za artykuł w sprawie strejku szkolnego. Karę tę sąd rzeszy potwierdził i wyrok stał się prawomocnym.

* **Proces** *„Kuryera Poznańskiego."* Dnia 9-go b. m. miał przed izbą karną odpowiedzialny redaktor pan Ziółkowski ostatni proces w sprawie strejku szkolnego. Oskarżenie wytoczyła prokuratorya z powodu odezwy komitetu wyborczego na powiat szubiński pod tyt.: „Kochany ludu polski!" Mimo, że p. Ziółkowski nie podał całkowitego brzmienia odezwy, lecz skreślił „niebezpieczne," jak mniemał, zwroty, skazano go na 120 marek kary i koszta procesu.

Ogółem otrzymał p. Ziółkowski we wszystkich procesach w sprawie szkolnej, których było razem czterdzieści i jeden kary pieniężnej w wysokości 4990 mrk. nie liczywszy w tem kosztów sądowych i innych.

* **Folwark Miaty** pod Trzemesznem, 800 mórg obszaru, dotychczasowa własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu nabył mocą kupna gospodarz p. Jan Graczyk, właściciel Woli Wapowskiej na Kujawach. Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

* **Zamieniono na wieś** miasto Mielżyn w powiecie witkowskim i to na wniosek byłego „miasta."

* **Przeszło 20 dzieci berlińskich**, przeważnie z parafii św. Piusa przystępowało dnia 7-go b. m. w mieście naszem w wspaniałym kościele farnym do I-szej komunii św., przyga-

towane do niej podczas 4 tygodniowego pobytu na wakacyach w Poznaniu przez grono zacnych pań tutejszych pod nadzorem księży.

Przebieg uroczystości był rzewny i do łez poruszył dzieci i ich rodziców, którzy na ten akt zjechali z Berlina. Mszą dla komunikantek i komunikantów berlińskich odprawił ks. kan. Adamski, który także do dzieci w pięknych a serdecznych słowach przemówił. Czego dzieci nie mogły osięgnąć od czułych na względy rządu księży niemieckich w Berlinie, to osiągnęły za staraniem dobrych ludzi, w stolicy Wielkopolski.

Po południu odbyła się wspólna schadzka rodziców z dziećmi i ich opiekunkami, podczas której sekretarz „Oświaty“ berlińskiej p. Michał Wróbel przy stósownem przemówieniu wręczył pięknie w drukarni „Dzien. Berl.“ wykonany dyplom na członka honorowego wielce około dziatwy polskiej z Berlina zasłużonej pani Anieli Tułodzieckiej.

*** Skutki kolonizacyi.** Na temat powyższy pisaliśmy już niejednokrotnie, dziś podajemy fakt nowy. W powiecie żnińskim rozszerzyły się osady komisyi kolonizacyjnej tak dalece, że założono tam nową gminę ewangielicką w Ciążkowie, niedawno przezwanem na Zinsdorf. Do gminy tej przyłączono parafie Brzykorzystew, Brzyskorzystewko, Dochanowo i Sobiejuchy. Nowa ta parafia ewangielicka otrzyma pomocniczego pastora. Smutne! Kto winien? — Sprzedawczycy!

*** Niezadowolony kolonista.** Z Golańczy piszą do „Lecha:“ Do pobliskiej wsi Czerlina, którą obecnie kolonizują, sprowadzono kolonistę S. z niekulturnej Galicyi; lecz tak go kultura jego faterlandu rozczarowała, że z zgryzoty na wierzbie się powiesił.

*** Wypieranie robotnika polskiego.** Na dworcu kolejowym w Raciborzu wywiesiła generalna komisya ciekawy plakat, w którym wzywa ewangelickich robotników, żeby się osiedlali na parcelach około Żabikowa pod Poznaniem. Każdy z nich potrzebuje mieć tylko 500 marok na zaliczkę, a dostanie kilka mórg z zabudowaniem i resztę ceny może spłacać rentami przez 60 lat. Być może, że i na innych dworcach wywieszono takie plakaty. Niechaj więc gospodarze, którzy lekkomyślnie ziemię sprzedają, rozważą sobie, że przykładają rękę nie tylko do germanizacyi, ale także do złutrzenia polskich okolic.

*** Wyrok w sprawie Sokoła szamotulskiego.** Pan Cynka, kupiec z Szamotuł, prezes tamtejszego Sokoła, oskarżony został o to, że w Sokole urządzał lekcye czytania i pisania polskiego, a o tem policyi nie doniósł, mimo tego wyraźnie zażądał prezes rejencyjny, rozporządzeniem z dnia 18-go marca 1907, potwierdzającem rozporządzenie policyjne z dnia 15-go listopada 1906 r.

Sprawa poszła aż do trybunału administracyjnego w Berlinie, którego senat wydał pod dniem 30-go lipca następujący wyrok:

Rozporządzenie oskarżonego prezesa rejencyjnego z dnia 18-go marca 1907 r. i w tamże potwierdzone rozporządzenie policyjne z dnia 15-go listopada 1906 r. znosi się.

Koszta, przy oznaczeniu wartości objektu na 100 mrk., nakładają się na oskarżonego (tj. na prezesa rejencyjnego).

*** Szanownych PP. Bibliotekarzy T. C. L. w W. Ks. Poznańskiem,** którzy w wymianie książek wzięli udział lecz nie odeslali wszystkich książek swej czytelni, ani też nie donieśli, jakie książki zatrzymali, upraszam najuprzejmiej, aby najpóźniej do 15-go b. m. zechcieli *nadesłać wykazy książek zatrzymanych.*

Tylko w posiadaniu takich wykazów przesłać mogę książki rzeczywiście świeże, jakich czytelnia dotąd nie posiadała.

Równocześnie donoszę, że Zarząd Główny uchwalił zakupienie dla bibliotek naszych *szafek* (o pomiarach 1 m. × 0,6 m. × 0,24 m.) Proszę zatem najuprzejmiej, aby zechcieli zgłosić się do mnie, o ile możności również do 15-go b. m., wszyscy ci bibliotekarze, którzy dla swej czytelni szafkę taką otrzymać by pragnęli.

Wreszcie upraszam o łaskawe zgłoszenie się także tych bibliotekarzy, którzy potrzebują nowej *książki* do zapisków, albo *godła T. C. L.*

Poznań, dnia 8-go sierpnia 1907.

Z szacunkiem

Dr. Michalski,

bibl. główny T. C. L.

*** Manewry forteczne** naokół Poznania w połowie września r. b. ściągną podobno 75 tysięcy wojska. Główny napór armii oblegającej pod dowództwem cesarza skierowanym będzie na „Kernwerk“ do którego z prawego brzegu Warty zbudowanym będzie most. Mieszkańcy mają już teraz uzasadnioną obawę, że drożyzna mięsa i wszelkich artykułów spożywczych znacznie się podniesie. Na kwaterach prywatnych także wielu żołnierzy będzie umieszczonych.

*** Święto „Sokole.“** Zeszłoniedzielny występ publiczny Sokołów w Inowrocławiu wypadł pod każdym względem nadspodziewanie świetnie.

*** Łobżenica.** W ubiegłą niedzielę odbył się tutaj pierwszy wiec „Straży“. Przemawiali: pp. Tadeusz Leitgeber, starosta „Straży“ na powiat wyrzyski, Wiktor Dettloff z Nakła i Jan Jagwiński, gospodarz z Liszkowa. Podczas przerwy zapisało się kilkudziesięciu obywateli na kandydatów.

*** Jutrosin.** Jeszcze skutki strejku szkólnego. Za obrazę i odgrażanie się nauczycielowi Molickiemu, Pawlakowi i Karaśkiewiczowi z Dubinia stawał przed tut. sądem ławniczym mistrz rzeźnicki Wąchalski z Dubinia. Skazano go na 180 mrk. kary lub 36 dni więzienia.

*** Oświęcim.** W niedzielę 18-go sierpnia obchodzić będą Ks. ks. Salezyanie uroczystość św. Jacka, oraz prymicye ks. Siary, Salezyanina. Porządek nabożeństw będzie następujący:

O godzinie pół do 7-mej Msza św. wspólna wraz z Komunią generalną; o 8-mej wotywa za członków Związku mszalnego; o pół do 11-tej uroczysta suma, którą odprawi nowo wyświęcony ks. Siara. Kazanie w czasie sumy wygłosi O. Dominikanin z Krakowa. Po południu o godzinie pół do 5-tej nieszpory.

Ks. ks. Salezyanie zapraszają na tę uroczystość wszystkich swoich Dobrodziejów i Pomocników.

*** Nowy Sokół w Kilonii.** Z Kilonii odebraliśmy następujące pismo:

W dniu 14-go lipca roku 1907 zawiązało się tutaj gniazdo „Sokół.“ Szanownym rodakom dobrze znane są cele Sokolstwa polskiego: pielęgnowanie zdrowia cielesnego i duchowego, czystości mowy i pisowni polskiej i t. d. Szanownych rodaków przebywających na obczyźnie prosimy łączyć się pod sztandarem sokolskim.

Posiedzenia Towarzystwa „Sokół“ w Kilonii odbywają się w Domu katolickim, Muklinsstr. 72, w każdą sobotę po 14-tym każdego miesiąca. Ćwiczenia gimnastyczne odbywają się w tym samym lokalu co środę i sobotę każdego tygodnia wieczorem od godziny 10-tej.

Goście mile widziani.

Korespondencye przysyłać należy na ręce prezesa, druha Szarzyńskiego, Weisenhofstr. 34.

Czołem! *Zarząd.*

Od Redakcyi: Nowemu Sokołowi życzymy, abyześrodkował życie narodowe Rodaków w tych stronach na obczyźnie przebywających. Niechaj będzie silnem gniazdem polskości. W tę myśl przesyłamy nowym druhom serdeczne i gromkie: Czołem!

*** W Bydgoszczy** odbyła się w ubiegłą niedzielę zabawa Czytelni dla kobiet. Trudy podjęte przez komitet wraz z zarządem wynagrodzone zostały sowicie. Zbiór ogólny wykazał sumę mk. 517,30, czysty zysk wynosić będzie około 400 mk. Podnieść to należy tem bardziej, że główny udział w zabawie prócz nielicznego grona inteligencyi i kupiectwa brali robotnicy tylko. Zebrana kwota jest dowodem wielkiej wśród ludu bydgoskiego ofiarności na cele oświatowe. Na szczególną wzmiankę z pośród urządzających zabawę pań zasługują z łona zarządu sekretarka towarzystwa p. Doktorowa Warmińska i p. Siuchnińska. Obie niestrudzone od południa do wieczora zabiegały około gości, witały, bawiły, zachęcały do pożywania darów bożych, które częścią członkowie, częścią obywatelstwo bydgoskie darowało Czytelni.

Ogólne wrażenie z zabawy było bardzo sympatyczne. Nie było owych „chińskich murów“, odgradzających wielkich od małych tego świata. Byli przeważnie tylko mali, a garstka wielkich, których na palcach u jednej ręki snadnie policzyć by było można, i jeszcze parę palcy by zostało bez użytku, umiała się doskonale dostroić do ogólnej harmonii. Wspólna kawa wśród miłej gawędy, doskonałych deklamacyi i artystycznej gry na cytrze i na skrzypcach zakończyła zabawę. Śpiew „wszystkie nasze dzienne sprawy“ dał hasło do rozejścia się.

*** Nakło.** Dnia 6-go b. m. został poświęcony i pobłogosławiony w pięknie w zieleń

przybranym kościele nakielskim związek małżeński pomiędzy p. Janem Maciaszkiem, adwokatem z Leszna, a panną Łucyą Gremczyńską, córką kupca p. Antoniego Gremczyńskiego i małżonki jego Anastazyi z Okopińskich z Nakła. Aktu ślubnego dokonał brat pana młodego ks. proboszcz Maciaszek z Bukówca, który w pięknych i rzewnych słowach przemówił od ołtarza do młodożeńców w asystencyi miejscowych księży: ks. proboszcza Mierzyńskiego i ks. Jauksza, oraz ks. kapelana Stankowskiego z Potulic. Gości weselnych podejmowali rodzice pani młodej w hotelu p. Rakowskiego. Podczas uczty weselnej odczytano około 200 telegramów, przeważnie Kościuszkowskich. Na czytelnie ludowe zebrano przeszło 50 marek. Młodej parze „Szczęść Boże!“

*** Z Pr. Starogardu** odbieramy następującą wiadomość:

Rodak nasz tutejszy właściciel drogeryi p. Cz. Nagórski uzyskał na wystawie przyrodniczo lekarskiej i hygienicznej we Lwowie złoty medal za swój znakomity wynalazek, proszek do prania p. n. Saponin z znaczkiem ochronnym koszulką.

Wykonane próby prania na wystawie jako też w cesarsko-królewskich zakładach chorych, szpitalach, koszarach i pralniach chemicznych wykazały, że proszek Saponin z znaczkiem ochronnym koszulką jest znakomitym, polecenia godnym środkiem do prania bielizny i czyszczenia wszystkich sprzętów domowych (bez mydła).

Na podstawie tych doświadczeń przyznała komisya wystawowa we Lwowie wynalazcy złoty medal.

Młodemu i energicznemu przemysłowcowi p. Nagórskiemu życzymy jak najlepszego powodzenia, gdyż jest to dla nas objawem pocieszającym, że przemysł nasz pomimo ucisku i stawianych nam trudności coraz więcej się rozwija.

*** Rodak z obczyzny** pragnie w miesiącu wrześniu przez 10 dni mieszkać za wynagrodzeniem w Poznaniu lub na prowincyi u takiej rodziny polskiej, u której miałby sposobność mówienia tylko po polsku. Adres wskaże redakcya „Pracy.“

*** Jako damskiego fryzyera** polecamy naszym paniom p. *St. Wenzlika* przy ul. Wilhelmowskiej nr. 19, właściciela największego polskiego zakładu damsko- fryzyerskiego w Poznaniu. Rodak nasz pan Wenzlik pracował dłuższy czas w Anglii, Francyi, Włoszech, Holandyi, Szwajcaryi, Austryi i Niemczech. Wyroby jego z włosów premiowano w Paryżu i Londynie najwyższemi nagrodami. I tu w Poznaniu zyskał p. Wenzlik już w krótkim czasie wielkie zaufanie. (Patrz ogłoszenie).

*** Pana Włodzimierza Suszczyńskiego**, właściciela zakładu fotograficznego „Victoria“ w Inowrocławiu przy ulicy Kolejowej 5, polecamy względom Szanownych czytelników Inowrocławia i okolicy. Zakład p. S. zaopatrzony jest w najlepsze i najnowsze aparaty fotograficzne, a właściciel jako biegły i rutynowany fotografista może zadosyć uczynić wszelkim, nawet najwybredniejszym gustom.

*** Ważne dla kupca.** W *miasteczku Prus Zachodnich* potrzebny jest *polski handel żelaza.* Okolica mieszna i przeważnie polska. Egzystencya pewna. Zgłoszenia reflektantów proszę przesyłać do redakcyi „Pracy.“ A. W. 95.

Nekrologia.

† Ś. p. *Stanisława z Schneiderów Bakalarczykowa*, dnia 4-go sierpnia w Poznaniu, przeżywszy lat 44. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Modzelewicz*, dnia 8-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 68. R. i. p.

† Ś. p. *Katarzyna z Złotnickich Janiszewska*, dnia 7-go b. m. w Strzelnie. R. i. p.

† Ś. p. *Walentyna z Pawłowskich Maurycowa Szumanowa*, dnia 8-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *z Siemianowskich Natalia Siewiczowa* umarła w Płocku w Król. Polskiem, przeżywszy lat 68. Pogrzeb odbył się dnia 7-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Bogumił Wojtowski*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 52 roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Kostro* dnia 11-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 53 lata. R. i. p.

† Ś. p. *Helena Demel*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

Bądźmy ofiarni na cele oświaty!

Przy grach towarzyskich i zabawach, przy uroczystościach rodzinnych i publicznych, przy zapisach, zawsze i wszędzie pamiętajmy o przysporzeniu majątku

Tow. Czytelni Ludowych.

Teraz można zapisywać

„PRACĘ“

na miesiąc sierpień i wrzesień.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Kwit pocztowy na „Pracę“ na dwa miesiące zamieszczony jest na niniejszej stronie.

„Praca“ jest pismem najstósowniejszem dla rodzin — umieszcza pouczające artykuły polityczne, naukowe, literackie, interesujące powieści, nowelki. W przyszłym numerze rozpocznie się druk nowych bardzo ciekawych powieści.

Upraszamy przyjaciół naszych i wszystkich, którym leży na sercu oświata szerokich mas, o polecanie i szerzenie naszego na wskroś narodowego pisma.

Od Redakcyi.

— *Filii Tow. Mł. Kup. w Buku.* — Za późno. Zwracamy uwagę na ogłoszenie redakcyi pod rubryką: wieców, zebrań itd.

— *Głosom z Kaszub.* — Myśl ta dawno nam przyświeca. Niestety od razu w czyn jej wprowadzić nie możemy. Możemy jednakże zaręczyć, że zbliżamy się do jej urzeczywistnienia.

— NB. ciekawi jesteśmy bardzo, do czego jeszcze „Głosy“ przypną hasło „swój do swego“. Zdaje nam się, że z kwestyą poruszoną to hasło nie ma nic wspólnego!

— *Panu Wojciechowi K. w Borbeck.* — Nadesłane zagadki nie nadają się do „Pracy“. Dziękujemy za łaskawą pamięć i zasyłamy miłe pozdrowienie.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate August—September 1907 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,00 Mark.

(Imię i nazwisko): ______________________

(Mieszkanie): ______________________

Obige 1,00 Mark erhalten zu haben, bescheinigt

______________, den ______________ 1907.

Kaiserl. Post______________

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył **M. P.**

23)

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Po tych słowach podniósł się adwokat Montagne, wziął kilka zapisanych kartek i zaczął czytać jak następuje:

„Ja, Hugon Mainwaring, wyznaję wobec śmierci dobrowolnie całą moją winę. Chcę ulżyć sumieniu i w ostatnich godzinach życia naprawić chociaż w części złe, do jakiego mnie popchnęła chciwość złota i szalona istotnie ambicya.

Muszę sięgnąć w daleką przeszłość. Mój brat Harold i ja byliśmy bliźniętami i tak do siebie podobni z twarzy i postaci, że często nawet nie mogli nas rodzice rozpoznać. Ale o ile z powierzchowności byliśmy do siebie podobni, o tyle różnemi były nasze charaktery — tylko pod względem gwałtownego usposobienia i bezgranicznego uporu byliśmy sobie równi. Harold był szlachetny, ufny, miał dobre serce, nie znał samolubstwa i hojny nieraz aż do rozrzutności. Nie miał ani niskich skłonności ani przywiązania do pieniędzy. Ja natomiast byłem nadzwyczaj ambitny i uważałem majątek za cel życia. Ta strona mego charakteru objawiała się już u mnie w czasach najrychlejszej młodości i zamieniła się później w niepohamowaną zazdrość, gdy doszedłszy do dojrzalszego wieku zrozumiałem, jakie prawa przysługują Haroldowi, jako pierworodnemu! Zazdrość ta zamieniła się w gorzką nienawiść, a myśl, że Harold, o kilka tylko godzin starszy, ma kiedyś posiadać wszystko to, czego ja tak gorąco pragnąłem, utkwiła jak cierń w mem sercu.

Ale o tej nienawiści nie wiedział ani Harold, ani wogóle nikt, dopiero gdy pewnej chwili stanęła między nami kobieta o twarzy zimnej, lecz cudownie pięknej, zachwycającej! Od tej godziny widziałem w Haroldzie już nie brata, tylko rywala. Z nim działo się to samo. Byłem tak oczarowany wdziękami tej kobiety, że zapomniałem wobec niej o całym świecie, Harold kochał ją jednak prawdziwszą, głębszą miłością, lepszą i szlachetniejszą. Gdy się ojciec dowiedział o przyczynie naszej wzajemnej nienawiści i gdy zagroził wydziedziczeniem temu, któryby na seryo pomyślał o małżeństwie z tą kobietą, wtedy nie namyślałem się ani chwili, podczas kiedy Harold zrzekł się wszelkich praw pierworodnego dla swej miłości. Ożenił się z tą kobietą, a ojciec wykonał groźbę, mianując mnie swoim spadkobiercą. Czułem się więc już samowładnym panem ogromnego tego majątku, lecz nagle, cztery lata później, na kilka godzin przed śmiercią, odwołał ojciec swój pierwszy testament i kazał spisać inny, na mocy którego brat mój miał odzyskać wszelkie prawa starszeństwa. Dla mnie co prawda nie było to niespodzianką, bo pomimo, że wobec ojca nie było wolno wymieniać imienia brata, to zauważyłem jednak, że ojciec dużo myślał o nim. . Raz nawet spotkałem go stojącego przed portretem Harolda i patrzącego na twarz jego ze łzami w oczach. Zaniepokoiło mnie to trochę, lecz potem zapomniałem o tych drobnostkach. Dopiero gdy na kilka godzin przed śmiercią zażądał ojciec notaryusza, zrozumiałem, że wszystko może być dla mnie stracone, i wtedy opanowała mnie wściekłość prawdziwa. Usiłowałem umierającego, lecz zupełnie jeszcze przytomnego ojca odwieść od tego zamiaru, ale daremnie. Przekupiłem więc stangreta. Stosownie do mego rozkazu wrócił bez adwokata, oznajmiając, że nie zastał go w domu. A gdy i to w obec uporu ojca nic nie pomogło, posłałem po Hobsona, nędznego pokątnego doradcę, którego postanowiłem użyć jako narzędzie wygodne w mych rękach. Hobson przybył, i z łotrem tym zawarłem ugodę, nie przeczuwając, jaki ciężar wkładam sam na siebie. Testament został spisany i zaopatrzony podpisem mego ojca, oraz wszystkich tych, którzy się znajdowali w pokoju. Kilka godzin później ojciec mój nie żył, a Hobson, który na pozór dokument ten zabrał z sobą, wręczył mi go nazajutrz za cenę kilkuset funtów. Odetchnąłem — lecz zupełnie pewny czułem się dopiero kilka tygodni później, gdy drugi świadek, Aleksander Buttler, umarł w Szkocyi.

Mój brat był wówczas w Australii, nie wiedziałem jednak, w jakich tam przebywał okolicach. Nie starałem się też wcale o zasięgnienie bliższych o nim wiadomości. Obawiałem sę jedynie o to, aby jakimkolwiek bądź sposobem nie dowiedział się o drugim testamencie, i aby nie wrócił, żądając tego, co mu się należy. Dla tego sprzedałem jak najprędzej wszystkie posiadłości i przeniosłem się do Ameryki. Co się działo w następnych latach, o tem mówić nie warto. Mój majątek zwiększał się z każdym rokiem — ludzie szanowali mnie, i stałem się potężnym — miałem więc wszystko to, czego pragnąłem. Ale szczęśliwym nie czułem się wcale. Nawet gdy otrzymałem wiadomość o śmierci mego brata, nie cieszyłem się tak bardzo, pomimo, że teraz byłem prawnym właścicielem całego majątku. Hobson rozpoczął teraz system wyzyskiwania, uprawiając go w najbezczelniejszy sposób i żądając coraz to większych sum. I nie dosyć na tem, uwiadomił on też kobietę, która zmarnowała życie mego brata, o mojej tajemnicy i oboje razem dokuczali mi tak, że czasem nie wiedziałem już, jak sobie poradzić. Ale testament przechowywałem zawsze jeszcze, nawet po śmierci brata nie zniszczyłem go — może dla tego, że byłem przesądnym! Chciałem go podrzeć dopiero po napisaniu własnego testamentu i byłbym to uczynił bezwarunkowo, gdyby mi straszny wypadek nie był przeszkodził! Jak rozpalonem żelazem wyryło mi się to w pamięci...

Od owej okropnej nocy z siódmego na ósmego lipca stałem się podobny do dzikiego zwierzęcia, ściganego nielitościwie psami. Nie miałem ani chwili spokoju, ani chwili wypoczynku!

Dzień, w którym napisałem mój testament, na mocy którego syn mego kuzyna Ralf Mainwaring miał zostać moim spadkobiercą, był dla mnie pełen wzruszeń. Przygnębiony udałem się zaraz po jedenastej do biblioteki i tam przyszła zaraz zarządczyni mego domu, pani La Grange, aby mi gwałtowną zrobić scenę z powodu testamentu. Tak jak już dawniej tak i dziś chciała mnie zmusić groźbami do ożenienia się z nią, ale odmówiłem jej dosyć szorstko i po upływie pół godziny wyszła w najwyższem uniesieniu, krwawą mi przysięgając zemstę. Zaraz po jej odejściu przyszedł mój sekretarz, Harry Scott, z którym zamierzałem pomówić jeszcze o kilku drobnostkach, odnoszących się do jutrzejszej uroczystości. Rozmowa nasza nie długo trwała, a gdy zostałem sam, pogrążyłem się w smutnych bardzo myślach.

Nagle wymówił ktoś moje imię. Był to głos, który zdawał mi się pochodzić z przeszłości, o której właśnie myślałem. Przerażony, zerwałem się z krzesła i ujrzałem przed sobą mężczyznę, który musiał wyjść z pokoju wieżowego. Miał on mój wzrost i moją postać — broda i włosy były długie i czarne, lecz twarzy rozpoznać nie mogłem, ponieważ stał w cieniu. Zanim zdołałem wymówić słowo, zaczął on tonem szyderczym i urągliwym:

— Dziedzic zamku Chesnes zdaje się bardzo być

przygnębionym w przeddzień podwójnej uroczystości, jaką jutro obchodzić zamierza!

Przypomniało mi się teraz, że jakiś nieznajomy pytał się o mnie po obiedzie i że, jak mi mój sekretarz powiadał, znał dokładnie program całego następnego dnia.

— Zdaje mi się — odpowiedziałem ostro — że pan chciałeś się już po obiedzie widzieć ze mną i że stósowną otrzymałeś odpowiedź. Nie rozumiem, jakim sposobem mogłeś pan wejść do mego domu o tej porze i postaram się, aby cię natychmiast stąd wydalono!

Wyciągłem już rękę aby zadzwonić, ale on jednym skokiem stanął kolo mnie, schwycił mnie za rękę i wyciągnął rewolwer.

Skamieniałem z przerażenia. Twarz jego, na którą padało teraz światło lampy, wydawała mi się znajomą — lecz musiało to być okropną omyłką — złudzeniem. — Oczy jego dzikim płonęły blaskiem, a usta w strasznym skrzywione były uśmiechu. Uśmiech ten przerażał mnie więcej, niż rewolwer! Ale pomimo wszystkiego nie straciłem panowania nad sobą i rzekłem dosyć spokojnie:

— Co to ma znaczyć, że pan uzbrojony wchodzisz nocą do mego pokoju?

— O, wiedziałem dobrze, do kogo idę, i dla tego wziąłem broń, — odpowiedział szyderczo. — Pan naturalnie, będąc na mojem miejscu, nie byłbyś wziął takiej broni — jedno pchnięcie sztyletem w ciemności, odpowiadałoby więcej twemu charakterowi.

— Oszalałeś pan, — krzyknąłem. — Jak śmiesz mnie tak obrażać? Jak śmiesz....

— Ba, — przerwał mi z swoim okropnym uśmiechem, — może zrozumiesz to, szlachetny Hugonie Mainwaringu, jeżeli ci przypomnę niektóre szczegóły twej przeszłości, jeżeli przy wstępie w pięćdziesiąty rok twego życia poproszę cię, abyś przeszedł myślą wypadki ostatnich dwudziestu pięciu lat! Może ujrzysz oczami duszy starego, umierającego człowieka, którego oszukałeś, nie wypełniając ostatniej jego woli, może ujrzysz jeszcze kogoś innego, któremu skradłeś najpierw honor domu, a potem majątek, jaki mu się należał. No i cóż, mój panie?

Myślałem teraz, że mam przed sobą jakiegoś wspólnika Hobsona, którego łotr ten wysłał, aby uzyskać odemnie znowu znaczniejszą sumę pieniędzy, i na myśl tę uniosłem się szalonym gniewem.

— Człowieku, — krzyknąłem, — bezczelność twoja wszelkie przechodzi granice! Tylko ktoś pozbawiony rozumu może przemawiać do mnie w ten sposób! Kto ty jesteś? Czego chcesz odemnie?

— Kto jestem? Czego chcę od ciebie? — powtórzył wolno głosem, na dźwięk którego krew mi się w żyłach ścięła, — na to krótka jest odpowiedź. Jestem Harold Skett Mainwaring i przyszedłem tu, aby żądać mej własności, o którą mnie twoja miłość braterska skrzywdziła. Rozumiesz to?

— Jesteś kłamcą i oszustem! — krzyknąłem tracąc panowanie nad sobą. — chociaż byś......

— Oho, — szepnął, prostując swoją wyniosłą postać, — ty, sam złodziej, śmiesz mnie lżyć wyrażeniami, jakie się jedynie tobie należą! Tylko mnie masz do podziękowania, że od dawna nie siedzisz w więzieniu! Ja mam być oszustem? Przekonaj się!

Szybkim ruchem rąk zerwał perukę i brodę i rzucił je na ziemię, a przedemną stał zupełnie ktoś inny! — Ja osłupiały patrzałem na niego, nie mogąc słowa wymówić — w głowie czułem taki zamęt, że nawet myśleć w tej chwili nie potrafiłem. I jak z daleka usłyszałem słowa:

— No i cóż? Kto jest oszustem?

Zwolna ochłonąłem z przerażenia i pojąłem, że tylko w pojednaniu się z nim jest dla mnie ratunek. Dla tego też odrzekłem łagodnie:

— Mylisz się, ja nie jestem oszustem! Wziąłem to, co mi się słusznie należało, bo uważałem ciebie za umarłego. Pomimo to jestem gotów — lecz nie przez uznanie twoich praw, tylko z własnej mojej woli — oddać ci albo znaczną część moich posiadłości, albo wypłacić ci pewną sumę pieniędzy — którą sam oznaczyć możesz.

— Bardzo uprzejmie z twej strony, — roześmiał się szyderczo. — Ale tyś jednak o wiele gorszy, niż przypuszczałem. Nie dam się zbyć lada czem tak, jak twój szanowny wspólnik Hobson, któremu honor sprzedałeś, albo jak owa niegodziwa kobieta, której panowanie musisz teraz znosić. Nie przychodzę jak żebrak do ciebie, bo jestem dziś majętniejszy, niż ty, a pomimo to nie chcę, abyś zatrzymał to, coś mi ukradł. Żądam wszystkiego napowrót, aż do ostatniego grosza! Nie dla mnie, tylko dla mego syna! Przegrałeś, mój kochany, złóż broń jak najprędzej!

Mój brat stał przedemną teraz, jak dawniej, dumny, wyzywający, pewny zwycięstwa, i to właśnie zbudziło na nowo całą moją nienawiść do niego.

— Myślisz? — krzyknąłem w uniesieniu. — Szkoda tylko, że nie masz ani cienia dowodu na uzasadnienie twych pretensyi albo twego oskarżenia! Majątek należy do mnie i zatrzymam go. A ty pożałujesz jeszcze tej godziny!

Harold z pogardą spojrzał na mnie.

— Hugonie, — rzekł, — od dwudziestu pięciu lat jest życie twoje jednem pasmem kłamstw. Zedrę ci teraz z twarzy maskę, którą tak długo nosiłeś, a rola, jaką dotąd odgrywałeś, skończyła się z twoim dziś spisanym testamentem. Zniszczyłem go, bo mam niezbite dowody o istnieniu tego testamentu, którym ojciec na łożu śmiertelnem wrócił mi wszelkie prawa starszego syna. Że testament ten istnieje, o tem przekonał się mój syn, będący u ciebie od półtora roku prywatnym sekretarzem!

Wiadomość ta wywarła na mnie wrażenie pioruna, a myśl, że zależę teraz zupełnie od jego łaski, doprowadzała mnie do wściekłości. Nie zważając na broń w jego ręku, rzuciłem się na niego, aby go udusić. A gdy podniósł rewolwer, schwyciłem go za rękę i odwróciłem broń od siebie. Zaczęliśmy walczyć z sobą, przyczem poznałem zaraz, że on o wiele jest silniejszym, niż ja. W ostatniej rozpaczy udało mi się raz jeszcze pochwycić jego rękę i podnieść ją — nagle dał się słyszeć huk strzału — mój brat upadł na ziemię, pociągając mnie za sobą......

Przez chwilę leżałem zupełnie oszołomiony i nie mogłem pojąć, co się właściwie stało. Ale wnet zrozumiałem wszystko. Jedno spojrzenie dało mi poznać całą okropną rzeczywistość, brat mój leżał martwy — a mała rana nad skronią aż nadto była wymowną! Na wpół oszalały z przerażenia położyłem rękę na sercu jego — które już bić przestało. Harold nie żył!

Załamałem ręce i stałem nad ciałem jego bezradny, na wpół przytomny! Czy ja go zabiłem w mej ślepej wściekłości? Czy własna jego ręka spowodowała strzał morderczy? Ja nie wiem! Bóg sam tylko wie, jak się to stało! Ale ja podniosłem jego rękę — ja byłem zabójcą — krew mego brata wołała o pomstę do Boga!

Była to najokropniejsza w mem życiu godzina! Przecierpiałem męki piekielne, nie mogłem myśleć, nie mogłem się z miejsca ruszyć — stałem jak skamieniały.

Ale nagle zadrżałem i zimny pot wystąpił mi na czoło.

— Co się teraz ze mną stanie? Jestem przecież mordercą! Jutro wszyscy o tem wiedzieć będą!

I o testamencie mego ojca! Ludzie zrozumieją, dla czego zabiłem brata, ale z tem wszystkiem czeka i mnie kara śmierci!

Oprzytomniałem teraz o tyle, że mogłem sobie przedstawić niebezpieczeństwo, jakie mi groziło. Najpierw postanowiłem zniszczyć ów drugi testament ojca, wpadłem więc do pokoju wieżowego, otworzyłem żelazną szafę i wyciągnąłem szkatułkę z klejnotami, w której dokument ten znajdował się. Drżącemi rękami odsunąłem drogie kamienie, lecz gdy otworzyłem skrytkę, cofnąłem się mimowoli — testamentu tam nie było! Nie dowierzałem własnym oczom — w śmiertelnym strachu szukałem tu i tam, dotykałem zimnego żelaza, zdarłem atlasowe pokrycia — wszystko daremnie — testament znikł bez śladu! Mój brat mówił prawdę — testament i zarazem dowód mego oszukaństwa znajdował się w posiadaniu jego syna.

W oczach mi pociemniało i wszystko zdawało mi się obracać w około. Wróciłem do biblioteki i patrzałem znów na leżącą na ziemi postać, na moje drugie ja... Doznawałem takiego uczucia, jak gdyby się mój duch unosił nad mojem ciałem. Byłbym może rozum stracił, gdyby mi nagle nie była do głowy przyszła myśl, której się schwyciłem, jak ostatniej deski zbawienia.

— To jest Hugon Mainwaring, który tam leży, — szepnąłem, — Hugon, który popełnił samobójstwo.

I teraz odzyskałem zupełny spokój. Nerwy moje, zwykle silne jak żelazo, nie zawiodły mnie i tym razem. Najpierw zbadałem ranę zmarłego i przekonałem się, że była śmiertelną. Krew spływała gęstemi kroplami, wziąłem więc chustkę i przewiązałem ranę. Potem zaniosłem ciało do pokoju w wieży, pozamykałem starannie drzwi i zabrałem się do dalszej pracy. Rozebrałem trupa i siebie, zamieniłem nasze ubrania i położyłem ciało zupełnie tak, jak upadło po wystrzale, a chcąc nadać pozór samobójstwa, zdjąłem chustkę z rany i położyłem koło trupa mój własny rewolwer, z którego poprzednio jeden wyjąłem nabój.

Po wykonaniu tego powtórnego oszukaństwa przygotowałem szybko wszystko do mojej ucieczki. Wziąłem z szafy pieniądze, lecz tylko srebro i złoto — weksle i banknoty zostawiłem nietknięte, bo one miały wartość tylko dla Hugona Mainwaringa, a ten przecież już nie żył. Ponieważ jednak zabrana gotówka na długo mi starczyć nie mogła, przeto po długim namyśle postanowiłem wziąść także klejnoty rodzinne, pomimo, że narażałem się na odkrycie mej tajemnicy, co się też sprawdziło! Włożyłem wszystko w małe pudełko i owinąłem je w zwyczajny papier, chcąc jak najmniej uwagi zwracać na siebie. W szkatułkę od klejnotów włożyłem pokrwawioną chustkę z głowy umarlego i klucze od drzwi biblioteki. Potem ubrałem się w paletot Harolda, wziąłem jego perukę przyprawiłem brodę i rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na leżące na ziemi ciało, wysunąłem się cicho i ostrożnie z domu z próżną szkatułką i moją paczką i wyszedłem w świat — oszust, złodziej, morderca i tułacz bezdomny!

Przechodząc koło jeziora wrzuciłem w wodę szkatułkę, potem szedłem ścieżką, wiodącą przez gaj do miasta. W parku spotkałem stangreta Browna, lecz on nie poznał mnie. Na dworcu stanąłem przed odejściem pociągu do Nowego Yorku, kupiłem więc szybko bilet i pojechałem na Wschód. Ale gdziekolwiek bądź się znajdowałem, przed wyrzutami sumienia ukryć się nie mogłem. Postać mego zamordowanego brata prześladowała mnie na każdym kroku, we śnie i na jawie. I jak na powiększenie mej męki znalazłem w kieszeni jego płaszcza list do syna, i to, jak się przekonałem, pisany na mojem biurku w wieżowym pokoju, podczas kiedy czekał tam na mnie. Ku memu największemu zdumieniu poznałem z kilku pierwszych zaraz słów, że ten, do którego skierowane były, nie wiedział tak samo jak i ja o tem, że piszący żył. To znaczy, że syn Harolda był przekonany o śmierci ojca, i że list ten pisany był na przypadek jakiej nieprzewidzianej przeszkody w widzeniu się ojca z synem. Harold zamierzał dać się poznać synowi dopiero po rozmowie ze mną. Z listu tego dowiedziałem się jeszcze, że gdy Harold jechał do Afryki, został przy rozbiciu się okrętu ocalonym w cudowny prawie sposób i że zgromadził podczas dwudziestoletniego w Afryce pobytu bardzo znaczny majątek. Gdy wrócił potem do Australii, aby zażądać od przyjaciela swego syna i cieszyć się nareszcie swem szczęściem ojcowskiem, dowiedział się o historyi drugiego testamentu, o swoich prawach starszeństwa, o oszukaństwie mojem i o tem, że syn jego zajmuje u mnie miejsce prywatnego sekretarza.

Wiadomości te skłoniły go do udania się do Londynu pod nazwiskiem Henryka Carouthersa. Tam poradził się adwokata Bartona, który mu oznajmił, że zamierzam w pięćdziesiątą rocznicę moich urodzin spisać testament i mianować moim następcą Hugona Mainwaringa, i wskutek tego wyjechał natychmiast do Ameryki, aby mnie zmusić do uznania praw jego i do oddania mu tego, co mu się należało. Pomimo, że mnie dnia tego popołudniu nie zastał w domu, miał jednak sposobność widzenia mnie zdaleka, i przekonał się, że podobieństwo pomiędzy nami nie zmieniło się wcale, z wyjątkiem sposobu czesania włosów i przystrzyżania brody. Chcąc wyzyskać podobieństwo to jako dowód swej tożsamości, kazał się uczesać tak samo jak ja i tak samo przystrzydz brodę.

List ten pisany był w najserdeczniejszych słowach miłości ojcowskiej. Harold opowiadał w nim o ciężkich walkach, jakie staczać musiał z własnem sercem, gdy chcąc się widzieć ze mną, stanął owego dnia w Chesnes w obec ukochanego syna..... Muszę wyznać, że list ten, w którego każdem słowie poznawałem mego szlachetnego brata, zwiększył mi wyrzuty sumienia tak, że chciałem sobie życie odebrać. Nie zniszczyłem tego listu i pragnę, aby go mój bratanek otrzymał jak najprędzej.

Nie żałuję, że nie zabiłem się natychmiast, gdy prześladowcy moi weszli do mego pokoju. Sprawia mi to pewną pociechę i uspokojenie, że mam dosyć jeszcze czasu na wyznanie mej winy i na odpokutowanie jej chociaż w części tylko. Opuszczam świat ten w przeświadczeniu, że testament mego ojca, który zataiłem, wróci memu bratankowi wszystko, co mu się należy. Dzięki Bogu, że on krzywdy żadnej nie dozna! Oby mi śmierć lekką była i Bóg mi łaskawym raczył być sędzią!“

— Podpisane jego ręką, — dokończył pan Montagne. — poniżej podpisy pana Bartona, Józefa Sturgisa, doktora Vheatinga, Fiksona i Merricka!

Potem przyniesiono żelazną szkatułkę, wyłowioną z jeziora, i w końcu przesłuchano dla formy jeszcze kilku świadków. Prokurator i obrońcy zrzekli się mów — dowody były takie, że wszelkie oskarżania i obrony zupełnie były zbyteczne.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na pana Sutherlanda, który odezwał się raz jeszcze w tej sprawie do przewodniczącego:

— Zdaje mi się, że dowody złożone z naszej strony są wystarczające i prosimy o wydanie ostatecznego wyroku!

Sędziowie przysięgli wyszli na naradę, a gdy po dziesięciu minutach wrócili, rzekł przewodniczący uroczyście:

— Oskarżenia przeciw panu Haroldowi Mainwaringowi okazały się zupełnie bezpodstawnemi. Oskarżony Harold Mainwaring dowiódł pod każdym względem swej niewinności i swych praw do majątku zmarłego bankiera Hugona Mainwaringa! Jest on jedynym prawnym spadkobiercą dziadka swego Ralfa Maxwella Mainwaringa!

Grzmiące oklaski publiczności najlepszym były dowodem sympatyi, jaką Harold umiał sobie pozyskać.

— — — — — — — — — — — —

Dziesięć dni minęło. Promienie zimowego słońca ozłacały kosztowne urządzenie osławionego pokoju wieżowego w zamku Chesnes i opromieniały postacie Harolda i Felicyi, którzy co dopiero wrócili z kościoła połączeni na zawsze węzłem małżeńskim. Przez wzgląd na żałobę odbył się ślub w najściślejszem kole rodzinnem i tego samego dnia jeszcze zamierzali nowożeńcy wyjechać do Anglii.

Harold przeczytał właśnie żonie list, który ojciec na kilka godzin przed śmiercią pisał do niego na biurku Hugona.

— Jak on cię kochał! — szepnęła Felicya ze łzami w oczach.

— Tak, — odrzekł Harold smutnie, — ojciec kochał mnie bardzo, i teraz zrozumiesz to, co ci jeszcze powiedzieć muszę — a co właśnie powiedzieć ci chciałem w dniu naszych zaręczyn w Londynie.....

— Ah, prawda, — przerwała Felicya. — Byłeś wtenczas tak przygnębionym, tak zagadkowym......

— Otóż patrz, — rzekł, wyjmując z pugilaresu kawałek bibuły, zupełnie zapełnionej odciśniętemi literami. Potem wziął małe lusterko i trzymał je w ukośnym kierunku nad bibułą.

— Co tam czytasz? — zapytał.

„Twój cię kochający ojciec
Harold Skott Mainwaring.“

przeczytała Felicya głośno.

— Co to znaczy?

— Słuchaj! Ten kawałek bibuły zerwałem z podkładki, znajdującej się na biurku Hugona Mainwaringa, i to kilka dni po owem morderstwie. Znalazłem to zupełnie przypadkowo i przeczytałem również za pomocą zwierciadła. Możesz sobie wyobrazić, co się ze mną działo, gdy poznałem pismo ojca, którego od lat dwudziestu uważałem za umarłego. Pisał na tem biurku, a więc żył! Z początku nie mogłem tego zrozumieć, lecz dowód leżał tuż przedemną, i pomiędzy wszelkimi domysłami i przypuszczeniami, jakie mi się bezładnie do głowy cisnęły, rozpoznałem w końcu to, że ojciec przybył, aby żądać od brata zwrotu majątku. Ale jeżeli to było jasne, to równie jasnem było jeszcze i to, że spotkanie się obydwóch braci było dosyć burzliwe i że musieli się widzieć zaraz po mojem wyjściu z biblioteki. Wszystkie okoliczności przemawiały za tem, nawet zeznanie pani La Grange, która twierdziła, że słyszała mnie sprzeczającego się głośno z Hugonem. Dosyć, że nie mogłem się pozbyć tej okropnej myśli, że ojciec mój w zapalczywym gniewie stał się mordercą! Myśl ta doprowadzała mnie do rozpaczy i zniewoliła do wyjazdu do Anglii. Pragnąłem za jakąbądź cenę uzyskać pewność — lecz potrzebowałem na to koniecznie rady mych adwokatów. Ja sam myśleć nie umiałem — to jedno tylko wiedziałem, że byłbym wolał wziąść na siebie całą hańbę tej okropnej zbrodni, i ponieść śmierć, niż zostawić cień podejrzenia na swoim ojcu. Chciałem mu tem dać dowód mej miłości. Ale nie mogłem ci wtenczas tego powiedzieć najdroższa, chociaż mi się serce krwawiło!

— Tak, teraz rozumiem cię zupełnie, Haroldzie, — odrzekła Felicya głęboko wzruszona. — Ile ty cierpieć musiałeś! I kiedy nareszcie dowiedziałeś się prawdy?

— Zaraz po powrocie do Nowego Yorku. Pani La Grange — moja matka powiedziała mi o tem! Ona poznała natychmiast w trupie, którego wszyscy uznali za trupa Hugona, mego ojca! Ale teraz, gdy wiesz już o wszystkiem, — dodał, obejmując czule jej postać, — teraz nie myślmy o tem, co leży po za nami! Myślmy lepiej o przyszłości i o naszem szczęściu!

— Tak ukochany, — zawołała Felicya uśmiechając się. — Przejdźmy się raz jeszcze po tych pokojach, których pewnie już nigdy w życiu nie zobaczymy! Zabierzemy z sobą wspomnienie, że pomimo wszystkich okropności, jakie się tu działy, miłość nasza tu właśnie rozkwitła i.....

— I połączyła mnie, — dodał, całując jej zarumienioną twarzyczkę, — z aniołem, z nieba mi zesłanym, przy którym zapomnę o wszelkich cierpieniach i przykrościach.

Ręka w rękę, rozpromienieni szczęściem i ufnością w przyszłość, wyszli oboje z pokoju, a wieczorem tego samego dnia jeszcze znajdowali się na okręcie, wiozącym ich do ojczyzny.

Koniec.

Z teki tetryka.

Nikt nie rzuca kamieniem na drzewo, które nie daje owoców.

* * *

Darmo nikt niczego nie daje: najlepsza nawet gospodyni jedną ręką rzuca gurom ziarno, drugą odbiera im jaja.

* * *

Jeżeli nie możesz być bogatym, bądź przynajmniej sąsiadem bogatego.

* * *

Nie nałowi ryb, kto ma wstręt do zamoczenia nóg.

* * *

Nieszczęście łatwiej znosić człowiekowi osamotnionemu, niż szczęście.

* * *

Niekiedy w gonitwie za szczęściem przeskakujemy przez szczęście i pędzimy dalej.

* * *

Być zajmującym dla ludzi — łatwo, być zajmującym dla ludzkości — trudno.

* * *

Gdyby człowiek mógł przewidzieć dokładną datę swego zgonu, to zaasekurowałby się na życie dopiero na trzy dni przed śmiercią.

* * *

Gdyby wszyscy ludzie na świecie byli geniuszami, wtedy być idyotą należałoby do dobrego tonu.

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Katastrofa kolejowa pod Trzemesznem.

Straszny wypadek kolejowy pod Trzemesznem należy bez zaprzeczenia do najsmutniejszych katastrof, jakie zaszły w ostatnich latach w Prusach.

Pociąg wykoleił się w pobliżu wsi Jankowa, przechrzconego na Braunsdorf pod stacyą Talsee. Jest to od niedawna nowa stacya między Trzemesznem a Gnieznem, urządzona dla wygody kolonistów niemieckich, osiadłych na terytoryum Jankowa, które nabyła komisya kolonizacyjna.

Co było przyczyną katastrofy, dotąd nie stwierdzono dokładnie. Mówią jednak, że nieszczęściu winne nieporządki na kolei.

W miejscu nieszczęścia naprawiano relsy na przestrzeni 100 metrów. Pędzący całą siłą pociąg o dwóch lokomotywach zamiast wjechać na szyny dobre, wjechał na szyny naprawiane, podobno jeszcze nie przymocowane należycie.

Wiadomości w tej sprawie są dość sprzeczne. Podobno dawano pociągowi sygnały, lecz maszynista albo ich nie zauważył, albo zrozumiał fałszywie i wjechał na tor niewłaściwy. Pociąg bowiem spóźnił się o 20 minut z tego powodu, że w Toruniu trzeba było dołączyć dwa wagony, gdyż liczba podróżnych była wielką. Maszyniści ztąd chcieli zapewne wyrównać zmudzony czas, pędzono więc na złamanie karku. Pociąg ciągnęły dwie wielkie lokomotywy. Wagonów osobowych było 6, z których 4 się wykoleiły.



Najpierw wykoleiła się druga lokomotywa i uderzyła taką siłą na pierwszą, że ta się wykręciła wpoprzek i tak przewróciła, że komin skręcił się na dół.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnie dla „Pracy“ p. Tadeusz Karchowski z Gniezna).

Najpierw wykoleiła się druga lokomotywa i uderzyła taką siłą w pierwszą, że ta się wykręciła w poprzek i przewróciła tak, że komin skręcił się na dół. Wagon pakunkowy obalił się na lewo, a pierwszy wagon z pasażerami wrył się przodem w niego, podczas gdy tył poszedł w górę. Jadący w tym wagonie I i II klasy zostali zabici lub ciężko ranieni. Następny wagon spiętrzył się na poprzedni, a dalszy wagon III klasy wpadł w środek, druzgocąc i miażdżąc wszystko. Z plantu zesunęły się nadto wagony w rów, tworząc jednę kupę zgliszczy. Wagony sypialny i pocztowy ocalały.

Nie dosyć na tem, bo na dobitkę nastąpiła eksplozya gazów i z dwóch stron wybuchł pożar, który ogarnął pokaleczonych, wypalając oczy i formalnie ich smażąc. Powstała panika nieopisana. Rzężenie konających, jęki rannych, syczenie ognia, mięszały się z trzaskiem rozbitych w kawały wagonów. A była to godzina 1 i pół w nocy — katastrofa zaś zaszła w dalekiem polu. Pozostali przy życiu popadali w obłęd, wybuchali płaczem, wołali o pomoc, starając się wydobyć z pod zgliszczy. Powstał chaos okropny.

* * *

Szczegółów wstrząsających o strasznej katastrofie dowiadujemy się —

pisze „Dziennik Poznański" — od świadka naocznego nieszczęścia, jakim była pani Lasocka z Królestwa, która pociągiem rzeczonym jechała w towarzystwie dwóch synków i cudownym niemal sposobem uszła nieszczęściu.



Dwa wagony drugiej i trzeciej klasy wtłoczone jeden w drugi.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnię dla „Pracy" p Tadeusz Karchowski z Gniezna).

W chwili wykolejenia znajdowała się pani L. w wagonie trzecim z rzędu za lokomotywami. Wstrząśnienie było tego rodzaju, iż jadącym wydawało się, że most zapadł się pod pociągiem. Równocześnie z dwóch stron powstał pożar spowodowany wybuchem gazów. — Jeden z jadących w tymże przedziale podróżnych wytłoczył kolanem okno przechylonego wagonu i wydostał się na tor, poczem pomógł wysiąść innym. Widok straszliwie pokaleczonych osób był okropny. Najstraszliwszemi były rany spowodowane ogniem, wypalone były u zwłok oczy, opalone włosy i brwi. Niektóre wagony zatrzymane w pędzie poskładały się jak harmonika, jedna lokomotywa wywrócona, druga wryła się w ziemię. Pomoc lekarska nie była dostateczną na miejscu, jęki, krzyk przerażający pozbawiały przytomności umysłu. W przedziale, znajdującym się obok naszej rodaczki jechało dwóch kadetów marynarki, obaj zostali zabici.

„Drzemałem w wagonie — opowiada jeden z pasażerów — gdy nagłe wstrząśnienie i spadające z siatek wagonu pakunki ręczne otrzeźwiły mnie. Słyszałem straszny zgrzyt, łuk i trzask całego pociągu. Poczem nastała cisza. Druga lokomotywa eksplodowała. Wyskoczyłem wśród zgiełku i widziałem strzaskane wagony jeden na drugim, z pod których dobywały się jęki ludzi starszych i dzieci. Pierwsza lokomotywa leżała do góry kołami na prawo od toru. Wywracając się, byłaby o mało co przygniotła robotników kolejowych, którzy w szałasie obok toru nocowali. Druga lokomotywa wyskoczyła z szyn na lewą stronę i zaryła się w ziemię. Dalej widać było bezkształtną kupę gruzów, pierwszy z zdruzgotanych wagonów, jakby uniesiony, sterczał przednią częścią w górę. Wszyscy ocaleni powyskakiwali z wagonów, przerażeni i oszołomieni. Z wagonu pakunkowego wydobywały się płomienie, które służba kolejowa poczęła zaraz gasić. Spostrzegłem tuż obok budkę kolejową, a szyny pogięte. Wagon sypialny był zduszony na poły, wagon restauracyjny w połowie zdruzgotany. Do rozbitych wagonów nie było można się dostać, więc poczęto rozbijać ściany. Wagon I i II klasy leżał zupełnie zdruzgotany. Przez szczeliny dostrzedz było można ciała zabitych, jeden miał rozpłatany brzuch i wnętrzności wychodziły. Kto żyw był starał się nieść pomoc nieszczęśliwym, dopóki nie nadeszły pociągi ratunkowe."

* * *

Informacye podróżnych są poczęści sprzeczne, co należy przypisać wielkiemu zdenerwowaniu.

Jeden ze świadków, który natychmiast po wypadku udał się na miejsce katastrofy, tak nam pisze:

„Dopiero około 9-tej rano wydobyto ostatnich rannych. Pewien pasażer, któremu ciężar wagonu spoczywał na nogach, jęczał okropnie i błagał w niebogłosy o pomoc przez 7 godzin zanim go z wielkich mąk uwolniono. Innego musiano z pomiędzy żelastwa formalnie wypiłować; podawano mu wodę do otrzeźwienia, bo wciąż wołał: „pić, pić!" W chwili gdy wydobyto z pod rumowisk jakieś dziewczątko ciało tegoż się rozpołowiło.

Miejsce katastrofy straszny przedstawiało widok: tam leżał poszarpany kapelusz damski, tam znów mankiety zbryzgane krwią, a tuż przy nich, jakby na ironię losu, pudełeczko z cukierkami, dalej poszarpany surdut, strzępy z kufra podróżnego i t. d. i t. d. Na uboczu położono trupy i nakryto chustkami, tylko jeden trup miał twarz odkrytą, nabrzmiałą, krwią zabrudzo-



Sąd zajęty rozpoznawaniem zwłok. Tor kolejowy zarzucony mnóstwem rozmaiych przedmiotów.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnie dla „Pracy" p. Tadeusz Karchowski z Gniezna).

ną; koszulę miał podartą i krwią zbrukaną i zabłocone spodnie.

Tak groźny obraz przedstawił mi się o godzinie 8-ej rano. Dalszej obserwacyi musiałem zaniechać, gdyż żandarmi rozpędzali publiczność.''

* * *

Już o godzinie 8-ej rano zjawił się na miejscu wypadku sędzia śledczy z Gniezna z pisarzem sądowym, by przedewszystkiem stwierdzić nazwiska zabitych i ciężko rannych. Przy zabitych i rannych znaleziono liczne portfele z przeważnie większemi sumami w gotówce, w banknotach i czekach, które sąd wziął na przechowanie.

Wydobywanie trupów i rannych z pod rumowisk połączone było z wielkiemi trudnościami. Niektórzy ranni przebyli 7 godzin w strasznem położeniu, zanim ich zdołano wydobyć. Większość zabitych zaskoczyła śmierć, gdy pogrążeni byli we śnie.

Uratowani opisują zgrozę wypadku, iż nie wiedzieli, co najpierw im uczynić wypada. Zwrotniczy, mieszkający w pobliżu miejsca wypadku, czynił służbę na stacyi w Jankowie, tak, iż w miejscu, gdzie naprawiano tor, nie było na razie dozórcy kolejowego.

Robotnicy widocznie niedbale rozpoczęli pracę przy naprawianiu toru. Szyny leżały prawie zupełnie luźno, przymocowane tylko dwiema śrubami, tak, że gdy ciężki pociąg z wielką szybkością przejeżdżał, szyny wyrwały się, a pociąg się wykoleił. Odnośna szyna pogięta w formie S. Dozórca kolejowy, który czyni stale służbę, otrzymał był na pewien czas urlop, a zastępował go asystent, który nie mógł czynić we dnie i w nocy służby. Z drugiej atoli strony zawinili także prowadzący lokomotywy, którzy o naprawie toru wiedzieli już od kilku tygodni i codziennie omijali owo miejsce. Wiedząc o tem, powinni byli zwolnić bieg pociągu. Usprawiedliwiają się atoli tem, iż pociąg spóźnił się o 20 minut i nie zwalniali biegu, by powetować opóźnienie. Większe i mniejsze niedbalstwa spowodowały zatem straszną katastrofę. Winowajcy ścigani będą sądownie za niedbalstwo i nie minie ich surowa kara.

Komisye kolejowe z Bydgoszczy i Poznania zjechały natychmiast na miejsce wypadku, również przybył minister robót publicznych, Breitenbach. Według ostatniego stwierdzenia, postradało podczas tego wypadku kolejowego życie 10 osób, a kilka jest ciężko rannych; liczba lekko rannych i potłuczonych przenosi 30.

Z ojczystych stron.

Sierpc.

Jedno z miast powiatowych w gub. płockiej w Królestwie Polskiem, nad rzeką Sierpienicą położone, a właściwie tą rzeką na dwie części podzielone, z których większa stanowi miasto właściwe, leży w posępnej kotlinie, zewsząd okolonej wzgórzami. Miejscowość to niezdrowa, malaryczna, przez różne choroby często nawiedzana.

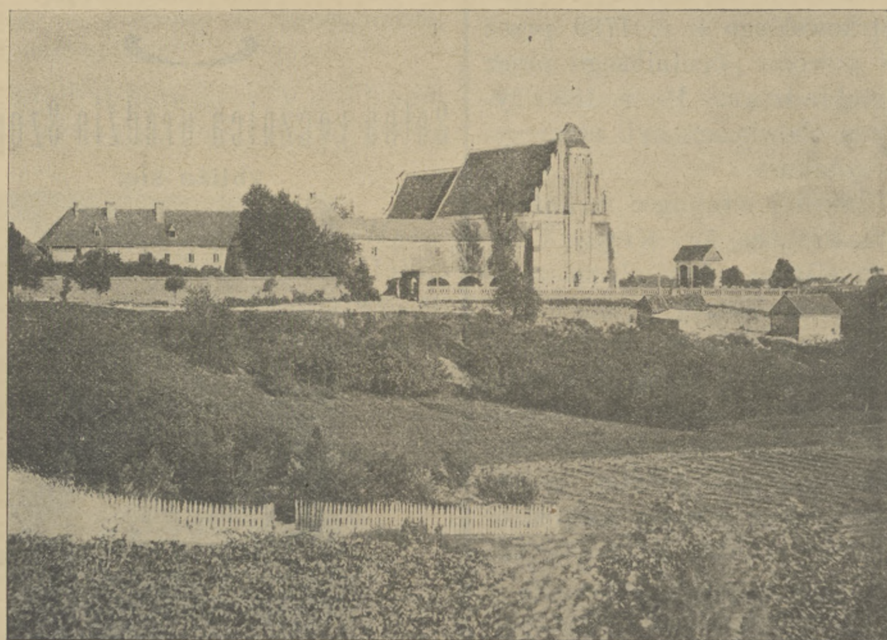
Druga część miasta, właściwie przedmieście stanowiąca, rozłożyła się na wyniosłem wzgórzu „Loret'' zwanem, od którego i cała dzielnica nazwę Loretu otrzymała. Prawdziwą tej części, a zarazem całego miasta ozdobą jest świątynia na wzgórzu Loret wzniesiona i miastu imponująca wspaniałą strukturą i olbrzymiemi kształtami.

Katarzyny Radziwiłłowej, wystawił klasztor murowany, dotąd istniejący.

Sam kościół, mimo przeróbek w latach 1787 i 1801 (po pożarze w r. 1794), zachował cechy ostrołuku krzyżackiego. Wewnątrz świątyni przechował się tylko nagrobek Katarzyny Kretkowskiej, zmarłej w r. 1621 i obraz z XVII wieku, przedstawiający księcia Konrada, nadającego OO. Dominikanom przywilej erekcyjny.

Ząb czasu, słoty i wichry poczerniły mury świątyni, co jednak nadaje jej urok starożytności. Wnętrze przedstawia się obecnie bardzo okazale, ponieważ kościół został gruntownie odrestaurowany.

Z góry klasztornej roztacza się wspaniały widok na okolicę. Widać dolinę ujętą dokoła w ramy wzgórz zielonych, pokrytą w czasie lata aksamitem traw i kwieciem różnobarwnem, na tle zaś tej zieloności przewija się



Kościół N. M. Panny w Sierpcu.

Kościół ten, zbudowany w r. 1483 pod wezwaniem Wniebowzięcia N. Maryi Panny, ze składek dobrowolnych, w celu umieszczenia w nim cudownego obrazu Matki Boskiej. W r. 1517 przy tym kościele osadzono mansyonarzy, w r. 1620 Benedyktynki, sprowadzone z Chełmna przez właścicielkę miasta Potulicką, która sama po śmierci męża wstąpiła do tego zakonu wraz z córką swoją Anną, oddając na uposażenie klasztoru połowę miasta.

W r. 1624 król Zygmunt III zwiedzał klasztor i był w nim podejmowany obiadem przez fundatorkę. Gdy w r. 1703 zgorzał dawny klasztor drewniany, wówczas Andrzej Załuski, biskup płocki, przy pomocy księżnej

srebrna wstęga Sierpienicy. Niemniej uroczo przedstawia się świątynia z klasztorem, kiedy się ją ogląda z głębi doliny. Majestatycznie rysują się potężne kształty, wywołując wspomnienia z dalekiej przeszłości.

Dla swej malowniczości cała ta dzielnica stała się miejscem spacerów ludności Sierpca, gdy pragnie ona odetchnąć świeżem powietrzem i oderwać oko od brudów miasta z drugiej strony rzeki.

Samo miasto, brudne i niechlujnie utrzymane, wlecze się jakąś linią zygzakowatą, bez odrobiny gustu i symetryi zabudowaną. Domy przeważnie drewniane, czarne, okopcone, szpetność miasta niezmiernie powiększają tem, że stoją zwrócone do uli-

cy, jedne szczytem, drugie frontem. Drzew widać tu mało, a ogrodów większych niema wcale, co też tem smutniejsze czyni wrażenie. Bruk lichy, a oświetlenie nędzne dopełniają całości.

Z dawnych zabytków widzimy tu jeszcze kościół parafialny pod wezwaniem świętych: Wita, Modesta i Krescencyi; kościół ten, jak głosi podanie, stanąć miał jeszcze w wieku XI, na miejscu świątyni pogańskiej. Część północna świątyni, zbudowana z polnego komienia okrągłego, pochodzi zapewne z pierwotnej budowli. Wieża ma cechy budownictwa z XVI wieku. Pożary w r. 1630 i 1648, a następnie przeróbki zatarły ślady pierwotnej struktury.

Jest tu jeszcze i trzeci kościołek, pod wezwaniem św. Ducha, pierwotnie zapewne szpitalny. Pochodzi on z r. 1319. Odnowiony został gruntownie w r. 1850.

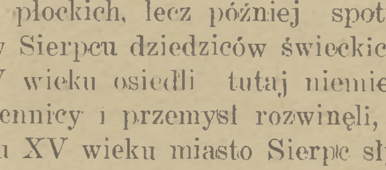
Śród miasta stoi słup murowany, wystawiony na mocy wyroku trybunału piotrkowskiego z r. 1739 przez żydów, z powodu popełnionego przez nich świętokradztwa. Do r. 1850 żydzi słup ten obowiązani byli utrzymywać w porządku.

Inne, dawniej istniejące tu kościoły: św. Wawrzyńca, św. Krzyża i św. Rocha, popadły w ruinę lub zniszczone zostały przez pożary.

Samo miasto należy do bardzo starych osad, bo już czytamy o niem w akcie Bolesława z r. 1155. Około r. 1322 Sierpc był w posiadaniu biskupów płockich, lecz później spotykamy w Sierpcu dziedziców świeckich. W XIV wieku osiedli tutaj niemieccy sukiennicy i przemysł rozwinęli, a w końcu XV wieku miasto Sierpc słynęło nawet z dobroci wyrabianego tam sukna.

Dziś, zamieszkałe przez żydów przeważnie, jest ogniskiem handlu zbożowego dla okolicy.

L.



Zdania i myśli.

Kto wątpi, ten nic błądzi.

* * *

Głupiec zwykle to potępia, co przechodzi jego pojęcie.

Na Zielną.

(Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny.)

Panie! oto zebrane z ziemi Twojej dary
Niosą w dom Boży przed ołtarz Twej Matki,
Jako serc wdzięcznych pokorne ofiary,
Składając owoc dojrzały i kwiatki,
Żeś błogosławił ludu pracę, znoje —
Przez dary Twoje.

Więc Matko! Twoje jaśniejące skronie
Zdobią girlandy z róż cudnej wonności,
I lud Twój wznosi spracowane dłonie
Do Ciebie, Matko litości.

W wiązankach kwiecia, rwanych z łona ziemi,
Bije zapachem macierzanka, mięta,
I maki dzwonią główkami srebrnemi
Tobie, Wniebowzięta!

I wszystkie zioła, które zdrowie niosą,
I kłosy zboża, powiązane w snopy,
Chylą się drżące poświęcane rosą
Pod Twoje stopy.

Setna rocznica urodzin Szopena zbliża się.

„Wielkim mistrzom — wielka cześć!...“ — mawiano dawniej. Narody cywilizowane stosują się zawsze do tej zasady — a jednak...



Fryderyk Szopen,
* 22. 2. 1810. † 17. 10. 1849)

Zdarza się jednak, że wielcy mistrze nie otrzymują takiego hołdu, jaki im się słusznie należy. Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe, gdy idzie o mistrzów wiedzy, nauki: twory ich umysłu nie zawsze są dostępne dla szerszego ogółu, więc też ogół nie wie o nich, lub wie niewiele. Zazwyczaj jednak wielcy mistrze w zakresie poezyi, sztuki, muzyki, cieszą się uznaniem szerokiego ogółu, bo płody ich myśli są dla tego ogółu dostępne.

Spytajmy przeciętnego Poznaniaka, co wie o wielkim, nieśmiertelnym wieszczu Mickiewiczu, napewno odpowie, że jest to nazwisko poety, którego pomnik stoi przy kościele św. Marcina. Mniej już będzie takich, którzy znają jego utwory poetyczne, a zaledwie garstka mała zna szczegóły jego życia.

O Szopenie, wielkim muzyku i kompozytorze, którego utwory dostępne są zarówno dla prostaczka, jak i dla smakosza wykwintnego — ogół nasz mniej może jeszcze wie, aniżeli o Mickiewiczu. Znakomici muzycy niemieccy: Mozart, Bethoven, uwiecznieni zostali w licznych pomnikach, statuach, znajdujących się w wielkich miastach całego niemal świata. Dla Szopena, który stanął w równym szeregu z owymi olbrzymami, zdobyto się zaledwie na skromny pomnik w Paryżu i jeszcze skromniejszy w Żelazowej Woli miejscu jego urodzenia.

Za trzy lata niespełna (dnia 22-go lutego 1910-go roku) przypada setna rocznica urodzin tego, który z naiwnych, prostych melodyi naszego ludu, wytworzył w duszy swej skarbice wspaniały, a czerpiąc z niego hojną dłonią rzucał zdumionemu światu najcudniejsze klejnoty w podarku. On pierwszy wsłuchał się w melodyę ludową, wpoił ją w siebie, przejął się nią i stworzył owe cudne mazurki, polonezy, krakowiaki, rozbrzmiewające rozgłośnem echem jego sławy po całym świecie. On pierwszy zmusił świat do poznania i uznania polskiej muzyki i pieśni.

I cóż zrobiliśmy dla uczczenia tego wielkiego mistrza, tego olbrzyma tonów? W Niemczech, Anglii, Francyi — o wiele mniej zasłużonym powznoszono wspaniałe pomniki. My nie możemy się zdobyć na coś podobnego dla mistrza, który sławą opromienia imię nasze!... Cudzoziemscy miłośnicy muzyki, bawiąc w Warszawie, zapytują niemal zawsze: gdzie stoi pomnik Szopena? — i ze zdumieniem dowiadują się, że Polacy nie zdążyli jeszcze uczcić w ten należny sposób największego z muzyków, nietylko polskich, ale wszechświatowych.

Czas upływa — a tymczasem albo nic wcale, albo bardzo niewiele czyni się dla oddania należnej czci temu, który jest chlubą naszą.

Gdy Szopen, jako młodzieniec 21-letni opuszczał Warszawę przenosząc się do Paryża, odprowadzono go uroczyście aż na Wolę, żegnano kantatą wykonaną pod kierownictwem ówczesnego dyrektora konserwatoryum Elsnera, dano mu na pamiątkę kubek z

ziemią, ażeby „gdziekolwiek będzie, pamiętał o swym kraju rodzinnym.“ Szopen spełnił dane wówczas zobowiązanie. Pamiętał o swoich, pracował dla ich sławy... ale nie zyskał dotychczas od swych rodaków takiej widomej oznaki wdzięczności, na jaką zasłużył sowicie. Czas upływa. Setna rocznica urodzin Szopena zbliża się szybko. Czy nie należałoby już dziś pomyśleć o należytem uczczeniu tej rocznicy i o dowiedzeniu, że i my potrafimy wielkim mistrzom składać wielką cześć?...

W obronie krzyża.

W małej mieścinie, Iwieńcu, na Litwie, zaszedł 3 lipca b. r. wypadek, przypominający żywo Kroże.

Mieszczanie iwienniecey wystawili z wiosną tego roku kilka krzyżów przy drogach. Pomiędzy nimi stanął także krzyż opodal cerkwi schyzmatyckiej. Pop rosyjski nie miał nic przeciw temu.

Do krzyżów tych odbywały się procesye w czasie dni krzyżowych.

W połowie czerwca zawezwano do naczelnika powiatu kilku mieszczan z Iwieńca. Każdego z nich skazano na rubla kary za nieprawne postawienie krzyża koło cerkwi. Mieszczanie zapłacili karę zadowoleni, że na tem się skończyło. Ale gdzież tam!

We wtorek 3-go lipca b. r. zjawiają się strażnicy, wykopują krzyż i przenoszą go na cmentarz kościoła katolickiego.

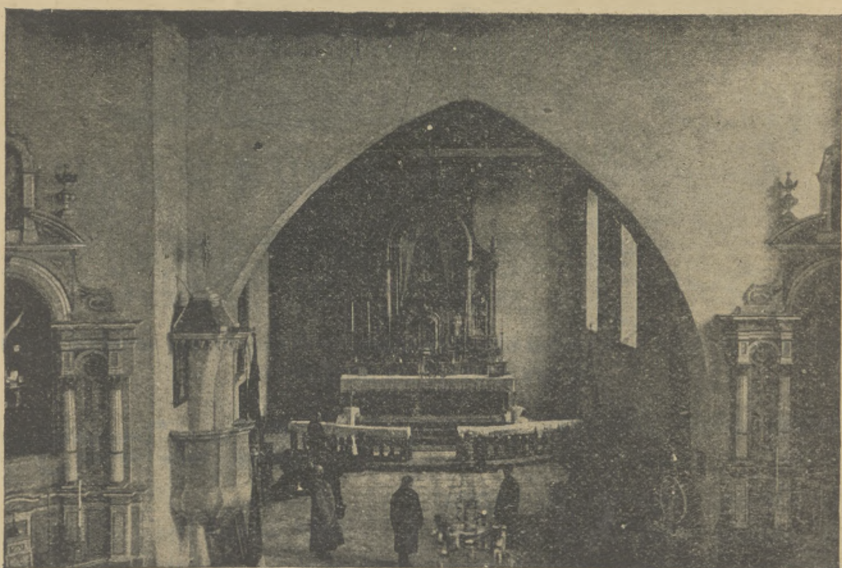
Wieść o usunięciu krzyża z dawnego miejsca lotem błyskawicy obiegła miasteczko. Wnet na cmentarzu zebrało się sporo dzieci i kobiet. Mężczyzn nie było, gdyż ci wyjeżdżają latem na robotę. Zebrane kobiety uradziły przenieść krzyż na dawne miejsce. Ze śpiewami odniosły go, wkopały i obłożyły wieńcami.

Na to przypada policya z nahajkami i rozpędza gromadę. Kobiety odpowiedziały miotłami, piaskiem a wreszcie kamieniami. Kilku strażników poraniono. Wtedy rozległa się komenda: „strielat.“ Padło około 50 strzałów. Kule gwizdały, odbijając się od płotów i sąsiednich domów. „Uriadnik“ dobył rewolweru i wystrzelił także kilka razy. Jedna z kobiet 67-letnia Julia Niedźwiecka zachwiała się i... padła na ziemię. Kula przeszyła ją na wylot...

Nazajutrz zjechała cała komisya. Zaczęły się badania i aresztowania „buntowszczyków.“

Pogrzeb zabitej kobiety odbył się przy wielkim napływie ludności z całej okolicy. Pochowano ją za kościołem tuż przy murze. Na trumnie widniały liczne wieńce z napisami: „Poległej za wiarę.“

Smutne to dzieje! Jakże żywo przypominają Kroże, gdzie to Moskale strzelali do zgromadzonego ludu w kościele... Kiedyż wreszcie nastaną dla naszych braci inne czasy?



Wnętrze kościoła N. M. Panny w Sierpcu.
(Patrz artykuł: „Z ojczystych stron“).

Złote myśli.

Nie to, nie to mi rozum, co pięknie mówi, ale co mądrze czyni.
Fr. Karpiński.

Ptaszęta Jezusowe.

(Z legend ludowych.)

Było to w Nazarecie. Siwobrody Józef pracował w swoim warsztacie, Najświętsza panna krzątała się około domowej gospodarki, a pięcioletni Jezusik siedział sobie na progu i lepił ptaszki z gliny, którą dostał od mieszkającego w sąsiedztwie garncarza. Chłopczyk cieszył się bardzo z podarunku, nie spodziewając się go wcale, gdyż stary zdun znany był ze skąpstwa i choć dzieci z tej samej ulicy prosiły go nieraz o kawałek gliny, nigdy jej dać nie chciał, a nawet strofował opryskliwie natrętnych malców. Mały Jezusek nie prosił o glinę, tylko patrzał słodkim wzrokiem na pracę garncarza i to spojrzenie świętej dzieciny tak poruszyło nieużytego sknerę, że zawołał sam chłopca i dał mu spory kawał.

Tuż obok, w drugim domu siedział na progu inny chłopiec, trochę starszy, z rudymi włosami, twarzą pełną sińców od bójek z rówieśnikami, w odzieży podartej i poplamionej. Był to Judasz, późniejszy uczeń Chrystusowy, który zdradził swego Mistrza. Robił on także ptaszki. Nie dostał jednak gliny od garncarza, któremu się zawsze psocił, rzucając kamieniami w jego kruchy towar, za co garncarz go niecierpiał, — ale dobry Jezusik podzielił się z Judaszem otrzymanym kawałkiem.

Gdy chłopcy ukończyli już pracę, ustawił każdy przed sobą swoje ptaszki w półkole. Judasza ptaszęta nie były zgrabne. Zamiast nóg miały grube bryłki gliny, szyi prawie żadnej, ledwie widoczne skrzydełka i krótki ogonek. Daremnie w czasie roboty spoglądał bezustannie na Jezusa, aby podpatrzeć, jak trzeba lepić ptaszki; nie umiał jednak im nadać ani tak gładkich skrzydełek, ani tak zgrabnej szyjki i głowy, jak to czynił Jezus. Widział sam, że jego ptaszki były koślawe, bez żadnego kształtu i bezustannie się przewracały.

Z każdą świeżo ulepioną ptaszyną stawał się Jezus szczęśliwszy. Spoglądał na swą pracę z radością i jeden ptaszek wydawał mu się piękniejszym od drugiego. Miały one mu być towarzyszami w zabawie, miały spać w jego łóżeczku, miały mu śpiewać, gdy sam w domu zostanie! Już teraz nigdy nie będzie się czuł samotnym i opuszczonym, gdy matka wyjdzie... I uśmiechał się do swoich ptaszków, głaszcząc ich skrzydełka.

Przechodził wtedy ulicą stary nosiwoda, uginając się pod ciężarem bukłaka, a za nim jechał na ośle handlarz warzywa, kiwając się pomiędzy dwoma próżnymi koszami z wikliny.

Zatrzymali się obaj, a nosiwoda, położywszy rękę na głowie Jezusa, zapytał go, skąd przyleciało tyle ptaszków.

Moje ptaszki przyleciały z obcych krajów i opowiadają mi różne rzeczy — odpowiedział Jezus. — Każdy ma inne nazwisko, a wszystkie umieją pięknie śpiewać...

A mówił to z taką pewnością, że nosiwoda i handlarz zatrzymali się dłużej, słuchając dziecka z zajęciem.

Kiedy już mieli odejść, wskazał Jezus Judasza i rzekł:

— Patrzcie! i on ładne ptaszki ulepił!

Wtedy handlarz zatrzymał osła przed Judaszem i zapytał go, czy i jego ptaszki mają nazwiska i umieją śpiewać..

Ale Judasz nic nie odpowiedział i gniewnie spojrzał na przekupnia.

Minęło południe, słońce schyliło się tak nisko, że promienie jego wpadły w małą bramę miejską na końcu uliczki, w której bawili się chłopcy. Promienie te były zupełnie różowe, jakby z krwią zmieszane i padając w uliczkę, zabarwiały tym kolorem wszystko, co spotykały: i naczynia garncarza i piłę i deskę Józefa i chustkę białą, okalającą oblicze Maryi.

Jednak największej blask słońca połyskiwał w małych kałużach, stojących pomiędzy kamieniami wybrukowanej uliczki.

I nagle wyciągnął Jezus rączkę do najbliższej kałuży. Przyszło mu na myśl, żeby pomalować ptaszki połyskującem światłem słońca, które nadaje tak piękny kolor wszystkiemu wokoło: ludziom, wodzie i ścianom domów.

A słońce dało się chwytać, jak farba z garnuszka, i gdy Jesus muskał niem gliniane ptaszki, zostawało na nich złoto i okrywało je prześlicznym blaskiem.

Judasz, który od czasu do czasu rzucał wzrok na ptaszki Jezusa, zobaczywszy pomalowane skrzydełka, wydał okrzyk zachwytu i czemprędzej zanurzył rękę w kałuży, aby pochwycić blask słońca.

Ale promienie nie dały mu się ująć; wyślizgiwały się między palcami i nie mógł ozłocić swych koślawych ptaszków.

— Czekaj, Judaszu, pomaluję ci ptaszki — rzekł Jezus.

— Nie potrzebuję... Ani mi się waż ich dotknąć. I takie są dobre...

Wstał z chmurnem czołem i zaciśniętemi ustami. Szeroką stopą zdeptał w złości wszystkie swoje ptaszki.

Potem przybliżył się do Jezusa, popatrzał przez chwilę na jego robotę, następnie podniósł nogę i zgniótł najbliższego ptaszka.

— Judaszu! co robisz? — zawołał Jezus. — Czyż nie wiesz, że one żyją i umieją śpiewać?

Ale Judasz roześmiał się i zdeptał jeszcze jednego.

Przestraszony Jezus chciał wołać pomocy, ale matka była daleko. Bronić się sam nie mógł, bo Judasz był duży, a on mały. Łzy stanęły mu w oczętach. Judasz zdeptał już cztery ptaszki, i pozostały tylko trzy.

Jezus uczuł do nich żal, że nie umiały uciekać przed niebezpieczeństwem. Klasnął więc w dłonie, aby je zbudzić i zawołał.

— Lećcie, umykajcie!

I ptaszki zaczęły bić skrzydełkami i trwożliwym lotem wzniosły się na brzeg dachu, gdzie już były bezpieczne.

Kiedy Judasz zobaczył, że ptaszki na słowa Jezusa podleciały w górę, przestraszył się bardzo, zaczął krzyczeć i płakać. Wydzierał sobie włosy, jak to widywał, że starsi czynili w wielkim strachu i zgryzocie i rzucił się do nóżek Jezusa, wołając:

— Zdepcz mnie tak, jak ja twoje ptaszki zdeptałem...

Na krzyk ten nadeszła Marya. Podniosła Judasza, wzięła go na kolana i pocieszała temi słowy:

— Biedne dziecko! Ty ani nie wiesz, że chciałeś dokonać tego, czego nikt nie potrafi. On jeden zdoła pozłocić słońcem martwą glinę i tchnąć w nią życie! Z Nim nie możesz iść w zawody. Nie porywaj się więcej na Niego, jeżeli nie chcesz być najnieszczęśliwszym z ludzi...

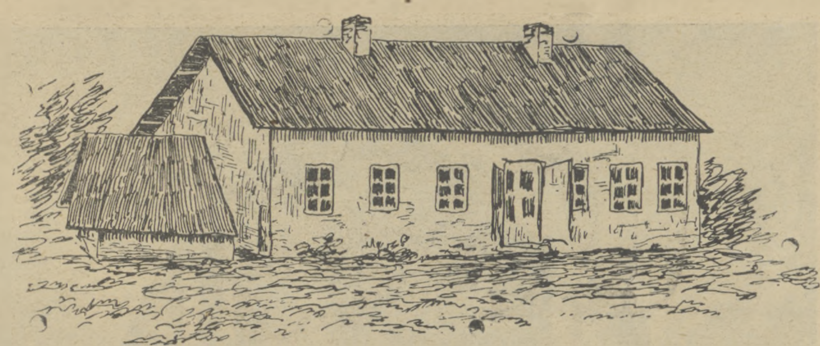
Modlitwa rolnika.

„Pogody, Panie!“ Twe dzieci wołają,
Pod niebem wznosząc spracowane dłonie;
„Pogody, Panie!“ deszcze nie ustają,
Nas o chleb troska trapi w naszem łonie.“

Dojrzały zboża, kłaniają się kłosy,
Dziatwa więc krzepko żniwo rozpoczyna,
I już radośnie dzwonią w polu kosy,
Aż tutaj — padać poczyna.

Dzień jeden pada — pada i dzień drugi,
Stroskane marszczą się skronie;
I nie przestaje. — „Panie Twoje sługi
Do Ciebie wznoszą błagalne swe dłonie.

Na naszą niwę spójrz, Panie, z góry,
Patrz, gniją w polu już dojrzałe kłosy;
Spojrzyj łaskawie — rozprósz czarne chmury
I ześlij słonko, niech zadzwonią kłosy!“



Dom w Żelazowej Woli w Królestwie Polskiem, w którym się urodził Fryd. Szopen.
(Patrz artykuł: „O Szopenie“).

Żubry.

Żubr znany był i opisany jeszcze na trzysta lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana przez Arystotelesa, pod nazwą „Bonasos“ lub „Monapos.“ Dopiero w XII stuleciu napotykamy nazwę „żubr,“ która najprawdopodobniej przyszła do nas z Grecyi, mianowicie z Tracyi, w końcu IX wieku, jak to czytamy u jednego z pisarzów bizantyjskich, który byka dzikiego nazywa „Zombros.“ Nazwa ta początkowo ukazała się w Mołdawii, tam zmieniona została na „Zimber“ lub „Dzimber,“ z której znowu następnie w Polsce urobiono nazwę „Żubr.“ Przedtem zaś żubr w całych Niemczech nosił nazwę „Anerochs'a“ (byka dzikiego) i jako jedno z największych i najważniejszych w Europie. W pierwszych zaś wiekach chrześciaństwa już znajdujemy go bardzo rzadko, a nawet jako fenomen okazywany był w Rzymie, gdzie padał ofiarą widowisk na arenie publicznej.

W miarę zaludniania się południa, żubr przechodzi coraz dalej i dalej na północ. Za czasów Karola Wielkiego znajdujemy go już w tych miejscowościach, gdzie obecnie leży Francya, Skandynawia, Niemcy, Galicya, Węgry i Rumunia.

Na Litwie w wiekach XII—XV żubra napotykano niemal wszędzie. Znany geolog, Roderyk Murezisohn, objaśnia to następującą hypotezą: żubry przechowały się na zaoszczędzonym przez potop wszechświatowy wzgórzu, położonem pomiędzy Bugiem a Dnieprem, poczynając od błot pińskich do morza Azowskiego. Stąd żubr rozszedł się po różnych miejscowościach, a między innemi dostał się i do miejscowości pomiędzy rzekami: Bóbr, Bug, Narew i Niemen, położonemi wśród bagnisk, pokrytych odwiecznemi lasami.

W jak wielkiej ilości niekiedy mnożyły się żubry na Litwie, widocznem



Żubr.

jest z tego, że Władysław Jagiełło w r. 1409 posyłał na tratwach Wisłą do Płocka, gdzie znajdowała się armia, gatująca się do wojny z Krzyżakami, po dwieście beczek solonego mięsa żubrów i łosiów. W r. 1429 zaś książę litewski Witold, w czasie zjazdu osób koronowanych w Łucku, na Wołyniu, rozkazał zabijać codziennie, prócz mnóstwa innych zwierząt, po sto żubrów.

W Niemczech żubry wyginęły wcześniej, niż gdzieindziej. W pierwszej połowie XVI stulecia Gessner znalazł czaszki i całe szkielety żubrów, zawieszone na ścianach sal magistratów w Wormsie i Metzu; były one tam ozdobą, a zarazem świadectwem, że i nad brzegami Renu gościł niegdyś ten zwierz piękny i wspaniały.

W wieku XVIII spotykano żubry jeszcze w Mołdawii, w której herbie mieści się głowa żubra. W r. 1770 zabito żubra na Kaukazie, lecz był to wypadek odosobniony. W r. 1830 do Akademii Nauk w Petersburgu znowu nadesłano skórę świeżo zabitego na Kaukazie żubra. Pułkownik Taube, zamieszkały na Kaukazie w r. 1836, opisał szczegółowo polowanie na to zwierzę, które do niedawna jeszcze napotykano u podnóża góry Elbrus, a głównie przy ujściu rzeki Urup do Kubanu. Akademik Schmidt i Popow dowodzą, że według wskazówek uczonych mongolskich i tybetańskich, żubry całemi stadami zamieszkują miejscowość pomiędzy Tybetem i jedną z prowincyi chińskich — San-Si; Chińczycy podobno żubra nazywają „Sy,“ a Mongołowie — „Buchakugaresu.“

Na Litwie do roku 1700 liczba żubrów była znaczna; w r. 1840 jeszcze napotykano oddzielne okazy żubrów w lasach gubernii nowogrodzkiej, obecnie zaś tylko jeszcze znaleść je można w puszczy białowieskiej.

Lecz i tu, pomimo opieki, jaką nad żubrem rozciągnięto zanika on powoli. Że tak jest, potwierdzają to w zupełności dane statystyczne; w r. 1815 w puszczy białowieskiej liczono do 300 sztuk żubrów (starych i młodych), w r. 1820—500 sztuk, w r. 1830—700 sztuk, w r. 1857—1,898 sztuk, w r. 1882—600 sztuk, a w r. 1892 — już tylko 491 sztuk.

W ten sposób liczba żubrów, bez względu na zdwojony dozór, nader sumienny, widocznie się zmniejsza i cyfrę 600 mniej więcej uważać należy jako przeciętnie prawdopodobną liczbę wszystkich żyjących w Białowieży żubrów. Ostatni raz obliczono żubry białowieskie w r. 1898; było ich wówczas 395 sztuk starych i 280 młodych.

Jeżeli więc, pomimo pieczy i starań, ogólna ilość tych zwierząt prawie wcale się nie zwiększa — to przyczyny zaniku poszukiwać należy w warunkach klimatycznych, w życiu i obyczajach tego zwierza.

Rys ten o najstarszem zwierzęciu, żyjącem na kuli ziemskiej, podaliśmy tutaj jako mało znany szerszemu ogółowi czytelników. Jest on tembardziej interesującym, że wkrótce prawdopodobnie żubr wykreślony zostanie z liczby zwierząt zamieszkujących ziemię.

J.



Wychowanie dziatek.

Był czas, gdy za jedyny środek wychowawczy uważano — kij. Szafowano nim hojnie, zarówno w domu, jak w szkole.

Dziś inne czasy, dziś wszystko inaczej.

Dawniej — powiedział ktoś dowcipnie — kij miał tylko jeden, a dziś ma dwa końce. Tak w szkole, jak w domu rodzicielskim, mniej bywa stosowany jako środek wychowawczy. Dzieła naukowe, mówiące o wychowaniu, ogłosiły karę cielesną za ubliżającą godności ludzkiej. Nawet zbrodniarzy nie wolno karać cieleśnie!

Nie brak atoli głosów w ostatnich czasach, które inaczej zapatrują się na tę sprawę. Wielu wychowawców głosi otwarcie, że kij w wychowaniu potrzebny, a nawet konieczny. W Szwecyi i Norwegii, ustawa z najnowszych czasów pozwala użyć kija, jako kary na młodych przestępców, gdy inne środki poprawcze nie wystarczają. W Ameryce w Stanach Zjednoczonych sam prezydent domagał się kary cielesnej na takich mężów, którzy źle obchodzą się z żonami. Tak więc powoli kij zaczyna znowu nabierać „znaczenia“ wychowawczego. Większość rodziców nie patrzy na to, co tam i jak mówią uczone książki o karze cielesnej. Jeśli nie biją, to przynajmniej grożą kijem. U matek najzwyklejszą karą dać dziecku „klapsa“. Dla starszych dzieci mają albo warzęchę, albo szczypę, czy kawałek kija, ot co pod ręką. Ojcowie w razie potrzeby „biorą się“ do pasa lub powroza. Kij rzadziej w użyciu, chyba czasami biczysko.

Cóż zatem sądzić o karach cielesnych? Czy i jak ich używać należy? Godzą się na to wszyscy wychowawcy, że w wielu wypadkach, zwłaszcza wobec chłopców, trudno przy wychowaniu obejść się bez użycia rózgi. Chodzi tylko o to, i w tem cała sztuka, aby rózgi używać rozumnie.

1. Przedewszystkiem pamiętać potrzeba, że kara cielesna, kij, to środek

ostateczny, a więc dopiero wtedy uciekać się do niego należy, gdy inne środki i sposoby nie skutkują.

2. Nie karać nigdy w gniewie. A pod tym właśnie względem wykraczają bardzo często rodzice. Kara ma być ku poprawie dziecka, ale nie dla okazania gniewu, a tem mniej zemsty ze strony ojca, czy matki. Jeżeli ojciec karze tylko dlatego, że jest zły, rozgniewany, taka kara zamiast poprawy, sprowadza złość i zawiść u dziecka. Dlatego rodzice, postawcie sobie to za regułę postępowania: nigdy nie karać dzieci, gdy jesteście w gniewie. Dopiero, gdy cię złość opuści, wtedy ukarz wedle potrzeby. Niech dziecko wie i widzi, że je karzecie nie z upodobania do bicia, ale z obowiązku rodzicielskiego, dla jego poprawy.

3. Nie strasz, ani nie katuj, tylko ukarz, to znaczy: karać trzeba mało, ale dobrze. Niech kara nie będzie katowaniem, ani też li tylko postrachem. Ona ma być rzeczywiście karą. „Na to biją, aby bolało" — powiada przysłowie. Skoro zaś na taką karę dziecko nie zasłużyło, to je wcale karać nie trzeba. Dlatego to karanie matek słabe, bojaźliwe zazwyczaj, nie poprawia, ale pogarsza.

Karać należy na osobności, w cztery oczy, zwłaszcza gdy to są dzieci już podrosłe, a do tego ambitne. Nigdy zaś kary zadanej nie wypominać, nie opowiadać innym.

Jeszcze jedno bardzo ważne pytanie: za co karać? Znowu pod tym względem bardzo nieroztropnie postępują rodzice. Zazwyczaj karzą za to, co wcale na karę nie zasługuje, a pobłażają wtedy, kiedyby należało chwycić za kij. Nigdy nie powinno się karać za to, co wynika z przyrodzonej słabości lub wady ciała, albo też w czem niema złośliwości, ale raczej nieostrożność, lekkomyślność. Tak n. p. nie karać, gdy dziecko nie może się czegoś nauczyć. Co innego zaś, gdy nie chce się uczyć, gdy jest widoczne lenistwo lub niedbałość. Nie karać, gdy wina pochodzi z nieostrożności, np. dziecko stłucze lub zepsuje jakąś rzecz, choćby to była szkoda znaczna. Natomiast ukarać, gdy jest wykroczenie rozmyślne, ze złości zrobione; karać zawsze wykroczenie przeciw przykazaniom Bożym, bo jeśli rodzice puszczą płazem grzechy dzieci, wtedy Bóg ich karać będzie.

Ilu Polaków mamy na obczyźnie?

Od całego szeregu lat, a zwłaszcza odkąd kolonizacya poczyniła u nas w kraju tak straszne spustoszenia, płynie potężna fala naszego ludu szerokiem korytem na zachód, opiera się o Berlin, dzieli się, jedną odnogą płynie na północ, na Lubekę, Hamburg, Bremę, drugą na południe przez Lipsk, Monachium, aż do granic francuskich. Głównem korytem atoli płynie wychodźtwo na Hanower do Westfalii i Nadrenii, gdzie pracuje w kopalniach, hutach, fabrykach, wszędzie mile widziane, wszędzie znajdujące pracę, chleb, wszędzie dorabiające się.

Nie mamy statystycznych liczb, jak wielki zastęp naszych wychodźców znajduje się w południowych krajach niemieckich, nie możemy też obliczyć nawet w przybliżeniu, ilu wychodźców znajduje się na północy, koło Bremeny i Hamburga.

Pewne dane daje nam natomiast artykuł Maksa Broosika odnośnie do Westfalii i Nadrenii, zamieszczony w czasopiśmie królewsko-statystycznego urzędu krajowego. Liczby te, a raczej wzrost tych liczb znakomicie nas objaśnia, jak szybko, jak żywiołowo liczba Polaków w tych dwóch prowincyach wzrasta.

Jako język ojczysty podało język polski w Nadrenii i Westfalii:

W roku	1890	1900	1905
osób:	31 762	127 157	188 471

W przeciągu lat ostatnich wzrosła zatem liczba wychodźców 5 razy. Procentowo tworzyli

w roku	1890	1900	1905
	0.54	1,47	1,95

procent ogólnej liczby ludności.

Najsilniej przez Polaków zaludnione są obwody regencyjne: arnsberski, monasterski i dyseldorfski.

W przeciągu lat ostatnich 10 wzrosła liczba wychodźców naszych:

w arnberskim	z 20 131	dusz	na	97 70
w monastersk.	z 5 490	„	„	40 723
w dyseldorfsk.	z 4 672	„	„	45 623
razem	z 30 293	„	„	184 049

Przyjrzyjmy się teraz bliżej nieco cyfrom ogólnej liczby mieszkańców w tych prowincyi. Obwód przemysłowy obejmuje obwody regencyjne arnsberski, monasterski, dyseldorfski i koloński. W obwodach tych mieszka ogółem 4,494,534 dusz. Z tej liczby nie rodziło się w tych obwodach 772,059 osób, czyli 17,16 procent ogólnej liczby. Z tej liczby 772,059 napływowej ludności pochodziło:

z innych prowincyi pruskich 549 175
czyli 12,9 proc.
z państw związkowych 115 138
czyli 2,56 proc.
z zagranicy 107 315
czyli 2,39 proc.

Liczba 559,175 dusz ludności napływowej do obwodu przemysłowego dzieli się na poszczególne prowincye, jak następuje:

Z Prus Wschodnich przybyło 15 695 osób
czyli 3,48 proc.



Płaskorzeźba portretu Fryderyka Szopena.
(Patrz artykuł: „O Szopenie").

Z Poznańskiego przybyło	78 288 osób	czyli 1,74 proc.
Ze Śląska przybyło	60 870 osób	czyli 1,36 proc.
Z Prus Zachodnich przybyło	52 183 osób	czyli 1,14 proc.

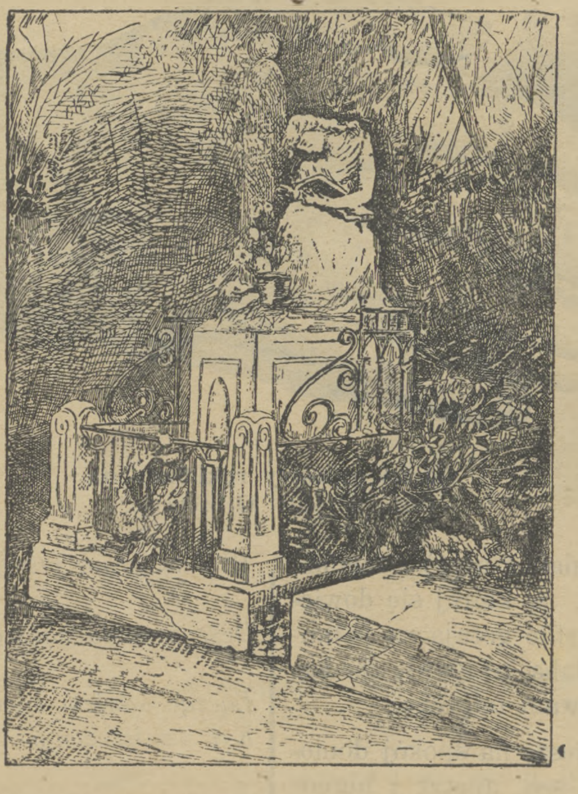
Napływowa ludność ze Śląska, Prus Zachodnich i Księstwa wynosi zatem 190,441 osób, które przeważnie za Polaków uważać możemy. Wychodźcy z Prus Wschodnich są natomiast pochodzenia przeważnie mazurskiego. Nie są oni przez polskich wychodźców lubiani dla swych pruskich uczuć. W ostatnim czasie budzi się jednak i wśród nich pewne poczucie odrębności i narodowości.

O ile wiemy postanowili oni przed rokiem mniej więcej założyć własny związek zawodowy, ku czemu o pomoc zwrócili się do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, której jednak, jeśli się nie mylimy, nie udzielono im. Czy związek ten istnieje jeszcze, nie wiemy.

Liczby dotyczące Polaków, ścisłemi nie są. Liczba 188,471 osób, które podały język polski za język ojczysty, może zgadzać się z prawdą, nie zgadza się atoli z faktyczną liczbą Polaków. Żyją tam tysiące polskiego robotnika, którzy nie pojmują, jak wielką dla nas wartość posiada podanie przez każdego rodaka za język ojczysty języka polskiego, żyją tam tysiące naszych robotników, którzy nie posiadają wyrobionego poczucia narodowego, innym wreszcie uśmiecha się aż nazbyt pruska kultura, to też, chociaż zawsze mówią i używają w potocznej mowie języka polskiego, wobec Niemców natomiast stemplują się za Niemców.

Statystyczne biuro urzędowe podaje liczbę wychodźców na blizko 200 tysięcy. Sądzimy, że w obwodzie przemysłowym mieszka co najmniej ćwierć miliona Polaków.

Liczba ta mówi do nas sama za siebie, jaką potęgę posiadamy na obczyźnie, ile sił żywotnych oddajemy z kraju.



Grób Fryderyka Szopena na cmentarzu Pére-Lachaise w Paryżu.
(Patrz artykuł: „O Szopenie").

Dziś — jutro.

„Dziś — jutro.'' Są to często bardzo niewygodne słowa i często pragnęlibyśmy nie zatrzymywać się przy nich ani na chwilę. Bo nie wszystko dzieje się tak, jak tego sobie życzymy, mianowicie w drobnych sprawach codziennego życia. „Jutro'' jest naprzykład dzień wypłaty, a pan domu w kasie pieniędzy nie ma, „jutro'' ma być wyprawiany bal, a kucharka „dziś'' opuściła służbę, „jutro'' zaczyna się wielkie uprzątanie w domu, którego wszyscy się lękają jak ognia, a posługaczka zachorowała, i takich „jutro'' jest mnóstwo, bez końca. I niejeden lub niejedna z ciężkiem mówi westchnieniem: „Żeby to „jutro'' raz już minęło!'' albo: „boję się tego „jutra.''

Ale czas jest nieubłagany, godziny mijają i „jutro'' zbliża się nieubłagane.

A gdy owa chwila, której się tak obawiamy, nadeszła, przekonujemy się często, że tak źle wcale nie jest, i że niepotrzebnie mieliśmy tyle strachu.

Dla nas, żyjących teraz w wieku pary i elektryczności, ma każdy dzień, każda godzina niezmierne znaczenie. Nasi przodkowie nie wyzyskiwali czasu tak jak my, u nich więcej znaczyło „dziś,'' niż „jutro,'' u nas zaś ważniejszem jest „jutro,'' niż „dziś.'' Dziś jest przygotowaniem do jutra, i nie możemy tracić ani chwili, jeżeli chcemy dojść do celu. Dawniej walka o byt nie była tak ciężką, dawniej więcej było czasu na wszystko to, na co dziś nikt rzeczywiście czasu nie ma. Podróże odbywały się wolno, bo koleji nie było — dziś najspieszniejsze pociągi idą za wolno i podróżni wymyślają nie wiem jak, jeżeli muszą na jakiej stacyi godzinę czekać. Dawniej byli uczniowie w szkołach, w niższych klasach, młodzieńcami o szumnych wąsach — dziś kwartaner z wąsami mógłby się chyba za pieniądze pokazywać. „Jutro'' wymaga dużo pracy, dużo zachodu, jeżeli ma dotrzymać tego, co „dziś'' przyrzeka. „Jutro'' jest nieraz bardzo dalekie, bardzo niepewne — dla tego powinniśmy „dziś'' tem więcej starać się o to, aby „owe jutro'' było pięknem i jasnem.

Biorąc rzecz dosłownie, jest przeciąg czasu od dziś do jutra krótkim, bo zaledwie kilkagodzinnym. A jednak, co się w tych kilku godzinach wszystko stać może! Ile znaczy jedna godzina dla świata całego! W każdej sekundzie umiera tysiące ludzi, w każdej sekundzie rodzą się tysiące, i miliony płaczą i śmieją się, rozpaczają i unoszą się najwyższem szczęściem! Jest to ogromna, potężna symfonia życia!

I to jest tylko jedna sekunda!

Są też jednak ludzie, którzy o „jutro'' nie troszczą się wcale. „Dziś jest moje — dziś człowiek wie, że żyje, a jutro......''

Tacy lekkomyślni, a raczej bezmyślni ludzie nie dojdą nigdy do celu. Są to owe lilje polne, które nic nie robią, a które rosną ładne i świeże, ładne dla oka, ale bez pożytku dla społeczeństwa. I jak kwiaty kwitną i więdną, tak i oni — więdną prędko i nie pozostawiają po sobie nic — umierają i nie żyją w swoich dziełach w pamięci bliźnych.

Oska.

Dział kobiecy.

U wód.

Lekarz przepisał mi pięciotygodniową kuracyę zimnowodną (w którą nie wierzę wcale). Doktorzy, nie wiedząc, co z pacyentem robić, posyłają go do wód, jest to stara ich metoda. I nie pomoże wszelki opór — prawo mocniejszego — trzeba mu się poddać. Schodzę zwyciężona z pola walki — pakuję kufry, żegnam męża i dzieci i — jadę.

— — — — — — — — — —

Po dwunastogodzinnej, wprost zabijającej podróży w przepełnionem coupe, na wpół nieżywa, okryta sadzami i pyłem, głodna, spragniona — staję na miejscu. Miejscowość ładna, hotel wytworny, gospodarz nadzwyczaj uprzejmy, gości mnóstwo. Panie w eleganckich, kosztownych toaletach — dzieci mało, piesków za to tem więcej. Panowie w białych flanelowych ubraniach — (naturalnie tylko aż do obiadu) żółtych trzewikach i różowych olbrzymich krawatach — jakiś Amerykanin ma ubranie kratkowane — w dwa kolory, biały i jasno zielony! Jaki szyk! Przy stole ośmdziesiąt osób — rozmowa nader ożywiona. O powietrzu, termometrze, potrawach, o skutkach kąpieli, o gościach, wycieczkach, zabawach, reunionach i o najrozmaitszych chorobach. Śmiechy, dowcipy, westchnienia, brzęk talerzy — jednem słowem ruch ogromny.

— Od jutra piję szklankę więcej. Lekarz kazał mi schudnąć!

—Dziwna rzecz, a ja mam utyć! Od dziś piję dwie szklanki więcej!

— Moje bicie serca wzmaga się i reumatyzm zaczyna mi dokuczać!

— To nic — a raczej dobry znak — reakcya!

Ach, jak teraz w domu spokojnie być musi! Mój mąż wyjeżdża jutro do Zakopanego, dzieci na wieś do krewnych — byłabym więc sama i używałabym ciszy w całem znaczeniu tego słowa! Ale trudna rada!

Naprzeciwko mnie siedzi dziewięcioletni, przemądrzały, nieznośny chłopiec. Mówi głośno, krytykuje bez żeny wszystkich i wszystko, a rodzice śmieją się i patrzą tryumfalnie na sąsiadów, jak gdyby się poszczycić chcieli takim synem. Ten chłopiec na nerwy mi działa i jutro poszukam sobie innego miejsca.

— — — — — — — — — —

Dziesiąta kąpiel — trzy szklanki dziennie i deszcz, od dwóch dni, nieustający. Czuję się słabą, zmęczoną i nie dziw — w nocy spać nie mogę — we dnie ciągle przechadzki, zmienianie toalety, kąpiele i t. d. — Boże, tożby tego i koń nie wytrzymał. Moje łóżko twarde, jak z żelaza, jeden z moich sąsiadów kaszli prawie całą noc, drugi śpi snem nie jednego, ale stu sprawiedliwych i chrapi tak okropnie, że dziwię się, że mury hotelu jeszcze się nie zapadły. Prosiłam gospodarza o inny pokój, grożąc wyprowadzeniem się — lecz oświadczył mi z uśmiechem, że innego niema, i że w całej miejscowości innego mieszkania nie znajdę.

— — — — — — — — — —

Dwudziesta kąpiel! Nie wiem, czy żywa do domu wrócę. Schudłam o pięć funtów (a miałam utyć) straciłam apetyt od chwili, w której się dowiedziałam, że wszystko gotują na palminie, jestem tak słaba, że ledwie chodzę, i codziennie miewam migrenę.

O jakże się cieszę na spokój domowy! Odzyskam sen, apetyt i humor i nigdy w życiu na nerwy narzekać nie będę.

— — — — — — — — — —

Dzięki Bogu! Jestem w domu! Jak mogłam wyjeżdżać! Tyle pieniędzy wyrzuconych i nic za to nie mam, oprócz doświadczenia......

Nie ma tu wytwornych toalet, nie ma piesków i przemądrzałych chłopców. Spałam dziś doskonale i wiem, że z łaską Boską tak prędko do wód nie pojadę.

Empa.



Odcisk gipsowy ręki Szopena.
(Patrz artykuł: „O Szopenie").

Burza.

Niebo dotąd przezroczyste nagle się
zachmurza:
Czarny bałwan nawały zdala się nadyma,
Pędzi jak koń wśród stepów, rozpiera
się, zrywa,
I grzywę dżdżu rozplata, po ziemi się
nurza.

Ryknął wicher, i echem ozwały się
wzgórza:
Szaleje, gryzie ziemię, drzewa w poły
ima...
Jeden tylko dąb stary, zda się, że wytrzyma, —
Jak duch mściwy, w ciemnościach rozszalała burza.

W tem grom jasny drze przestwór i
raz w raz się mnoży,
Deszczom stargał wędzidła — i jak dwa
żywioły
Łącząc ogniem i wodą niebo i padoły,
Kir zniszczenia rozpięły... Kto w
grzechach wesoły,
Niech będąc świadkiem burzy, w proch
się upokorzy;
Bo w jej słabym obrazie ma straszny
sąd Boży.

G.

Myśli.

Człowiek żałuje często tego najwięcej, czego nie dokonał.

* * *

Zbytnia radość jest siostrą smutku, a częstokroć matką choroby.

* * *

Serca, bijące wzajemnem tętnem miłości — nigdy o sobie zapomnieć nie mogą.

Rozmaitości.

— *Prosty sposób konserwowania surowego rabarbaru.* Z umytych łodyg rzewnia czyli rabarbaru należy zeskrobać korę, co jednak przy delikatnych, szybko wyrosłych łodygach nie jest potrzebne. Następnie pokrajać je na małe kostki, którymi bez jakiejkolwiek przyprawy należy wypełnić czyste, zwyczajne butelki z szeroką szyjką. Aby módz tego jak najwięcej pomieścić, należy podczas napełniania uderzać po parę razy dnem flaszki o chustkę w kilkoro złożoną na stole, a gdy flaszka już jest należycie pełną, nalać zimnej wody. Flaszkę zakorkuje się, zalewa dobrze płynnym woskiem lub co jeszcze lepsze parafiną i przechowuje w piwnicy, chroniąc przed światłem i ciepłem. W tak prosty sposób sporządzony, utrzymuje się rabarbar znakomicie. Jeżeli zechce się użyć w zimie takiej flaszki, to wówczas wytrząsa się z niej kawałki rabarbaru, albo wyciąga się je za pomocą drucianego haczyka i gotuje z dowolną ilością cukru. Do ciasta używa się tylko miażdż rabarbarowy, sok jednak można ocukrzyć i przygotować do picia albo dodać do gotowanych owoców.

—*Borówki* można również korzystnie w powyższy sposób konserwować. Jeżeli wymytymi borówkami dobrze wypełni się flaszkę, to nie potrzeba ani nawet wodą dolewać, bo przechowywane tak w ciemności i chłodzie, trzymają się znakomicie całe lata. Barwa i kształt jagód pozostaje prawie nienaruszona, tak że można ich używać, jak świeżych do garnirowania tortów, kremów etc. Przy użyciu miesza się według upodobania z cukrem albo gotuje się z wodą i cukrem. **W tym czasie, gdy rabarbar i borówki** są tanie, może nawet najbiedniejsza kobieta przysposobić sobie pewien zapas tych zapraw na zimę, zwłaszcza, że i zwyczajne butelki są bardzo tanie; otóż często są nawet ludzie zadowoleni, jeżeli ktoś sobie flaszki zabiera. Niestety jednak ten rodzaj przysposobiana według podanych doświadczeń nie nadaje się do innych jagód i owoców. Jedynie agrest, zerwany całkiem niedojrzały, utrzymuje się również w ten sposób. Wszystkie inne jagody, które zawierają więcej cukru, fermentują. Z doświadczeń tych wypływa wielka korzyść, albowiem praca nie wymaga ognia, czasu zużywa się mało, a konserwy pozostają w naturalnym stanie t. j. surowe.

— *Zimne okłady na całe ciało.* Przeciwko rozmaitym cierpieniom poleca się często na noc owijania ciała w mokre prześcieradła. Te jednak nie zawsze i nie każdemu dobrze służą, a mianowicie, gdy nie zwraca się uwagi na następujące względy. Słabe, nerwowe osoby powinneby okłady silnie wyciskać, ponieważ tacy łatwo ziębną i nie mogą się ogrzać. Następnie okład nie powinien za długo leżeć, ale zaraz być zdjęty, skoro ustąpi nieprzyjemne uczucie.

Po każdych zawijaniach ciała należy całe ciało zmyć letnią wodą.

— *Jak należy się zachować wobec chorych?* Wielce nieprzyzwoitą, a jednak praktykowaną rzeczą jest to, iż ludzie, odwiedzając chorych, niepokoją ich przez głośne objawianie swych myśli, np. co do ich złego wyglądu. Są nawet i tacy ludzie, którzy przy odwiedzinach straszą chorych opowiadaniami o złych wynikach tej lub owej choroby. Często wskutek takiego niestosownego i nietaktowego postępowania, sprowadza się wprost pogorszenie choroby. Dlatego należy zawsze przy odwiedzinach chorych unikać tego, coby ich mogło drażnić.



Fryderyk Szopen według maski pośmiertnej.
(Patrz artykuł: „O Szopenie").

Przestrogi i rady.

—*Przestrogi dla ludzi, pracujących umysłowo.* Ludzie, umysłowo pracujący, nie powinni nigdy zbyt długo pracować przy jednej i tej samej robocie; powinni dbać ustawicznie o zmianę pracy, jeżeli nie chcą, aby wyrobiła się w nich nerwowość i wreszcie niezdolność do pracy. Ludzie tacy powinni spać 7—8 godzin, spożywać łatwo strawne potrawy i dbać o należyty regularny stolec.

— *Przewietrzanie pierzyn na słońcu.* Wystawianie pierzyn na słońce, bywa często fałszywie wykonywane. Nie trzeba wystawiać ich, jak się to często zdarza, na silniejsze działanie promieni słońca, lecz wyszukać takie miejsce, na które słońce nie działa paląco; w przeciwnym razie pióra, jeżeli już całkiem nie ulegną spaleniu, to w znacznym stopniu skruszeją. Powinno się piernaty dobrze przetrząsnąć i wytrzepać.

— *Dla osób gorączkujących.* Doskonałym środkiem w czasie gorączki jest sok jabłkowy, który sporządza się w sposób następujący: 2—4 jabłka (stosownie do wielkości), czysto obrane i dostatecznie w płatki pokrajane, polewa się wrzącą wodą. Następnie ochładza się to wszystko i napój jest gotowy do użycia.

— *Przeciw nagniotkom.* Nagniotki powstają przeważnie w skutek ucisku źle leżących i ciasnych bucików, a ustępują, skoro się zacznie nosić obuwie przypasowane do własnych nóg. Aby pozbyć się nagniotków, trzeba z wieczora wstawić nogi do gorącej wody, do której dodaje się trochę potażu. Następnie owija się palce wilgotną chustką i naciąga się na nogę wełnianą pończochę i tak leży się przez całą noc. Rano twardy naskórek rozmiękcza się, poczem można go łatwo usunąć tępym nożem. Wycinania nierozmiękczonych przedtem nagniotków należy zaniechać z powodu niebezpieczeństwa łatwego zakażenia krwi.

— *Przeciw zwilżaniu znaczków pocztowych językiem.* Ślinienie językiem nagumowanych znaczków pocztowych i okrywek listowych (kowert) jest nieestetyczne i niezdrowe. Zwilżanie powinno uskuteczniać się zawsze albo za pomocą gąbki, albo poślinionego palca lub czemś podobnem. Dużo chorób gardlanych i zakażenia krwi należy odnieść do tego zakorzenionego zwyczaju, wynikłego z wygody i nielogiczności.

— *Środek przeciw komarom.* W czasopiśmie *„British Medical-Journal“* pewien angielski lekarz poleca olejek cytrynowy jako znakomity środek przeciw ukąszeniu przez komary. Trzeba tylko kilka kropli tego olejku rozetrzeć po skórze, a już to wystarczy do odpędzenia nietylko komarów, ale i much i innych owadów. Ponieważ atoli taki olejek eteryczny łatwo się ulatnia, działanie tego środka trwa tylko przez 1 do 2 godzin. Mniejsza jednak o to, gdyż wystarcza tylko cokolwiek natrzeć olejku koreczkiem z flaszeczki, którą można wygodnie nosić w kieszeni.

Z teki tetryka.

Zazdrość i nienawiść wpadają tak łatwo w przesadę, iż gotowe są do zgaszenia płonącej zapałki wzywać straż ogniową.

* * *

Szczęście darzy nas niekiedy orzechami, ale nie wymagajmy, aby nam i łupiny tych orzechów tłukło.

* * *

Prawdy powinno być więcej na świecie, niż kłamstwa, bo prawdę biorą ludzie jak na lekarstwo, a kłamstwo jedzą łyżkami.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 18 sierpnia 1409 mordy krzyżackie w Dobrzyniu. — 1573 uroczysty wjazd posłów polskich do Paryża. — 1849 legion polski uchodzi z Węgier do Serbii.

Dnia 19 sierpnia 1574 poselstwo polskie przed Henrykiem Walezym. — 1709 manifest Stanisława Leszczyńskiego do narodu.

Dnia 20 sierpnia 1672 Turcy biorą Kamieniec.

Dnia 21 sierpnia 1471 Władysław Jagiellończyk koronowany w Pradze



Kwiaty.

— *Od piorunów na wsi,* na otwartem polu niebezpieczeństwo rażenia jest większe niż wśród lasu, lecz i tu niemało zależy od rodzaju otaczających drzew, jako nierównych przewodników elektryczności. Stąd powstał przepis następujący:

Dębów unikaj, od sosien uciekaj;
Skryj się pod bukiem i gromy przeczekaj.

Przysłowie dobrze powiada, że „czas to pieniądz“; cała trudność polega na wymianie czasu na pieniądze.

* * *

Człowiek, który ma coś zabrać z twego domu, znajdzie do ciebie drogę i bez przewodnika; człowiekowi zaś, który ma coś przynieść do twego domu, musisz bardzo dokładnie wskazać drogę.

królem czeskim. — 1648 uwolnienie Zbaraża od oblężenia.

Dnia 22 sierpnia 1530 zwycięstwo nad Tatarami pod Obertynem. — 1514 śmierć Jana Kochanowskiego.

Dnia 23 sierpnia 1776 otwarcie sejmu. — 1813 Dąbrowski w bitwie pod Grosbeeren.

Dnia 24 sierpnia 1447 otwarcie sejmu w Piotrkowie. — 1675 obrona Trębowli. — 1772 Austryacy zajmują Wieliczkę.

Humor i satyra.

Złote myśli:

Antyalkoholika.

Człowiek pijany nie wie co robi,
Choć głupi, jednak wieńcem skroń zdobi.

Alkoholika.

Człowiek trzeźwy szybciej głupieje,
Bo chociaż w gardło wódki nie leje,
Ze złości pęka, gdy inni piją
I poty dziesiąte na niego biją.

Kandydata „Wyzwolenia.“

Wódko, pociecho moja,
Ty jesteś jak zdrowie! —
Ile cię trzeba cenić
Ten tylko się dowie
Kto Cię utracił
I — wstępuje do „Wyzwolenia.“
Teraz i o każdej dobie
Wzdycham do ciebie i wspominam Cię,
Bo strasznie tęsknię po Tobie.

* * *

Niema czasu.

— Mąż pani zawsze się spieszy!

— O, tak, nie ma czasu nawet — do pracy.

* * *

Co się składa.

Myśli ze spostrzeżeń wytrawnego Don-Żuana.

Ongi, by kobietę piękną
Zwać mógł tłum szary,
Składać na to się musiały
Natury dary.

Dziś, gdy piękną chce kobieta
Być dla chłopczyków,
Składa się: szewc, krawiec, fryzyer,
Skład kosmetyków,

Kapelusznik, gorseciarka,
Wat i gum stosy...
Wielbicieli piękna dzisiaj
Smutne są losy!

* * *

Sprostowanie.

— Cóż tak całemi dniami spacerujesz po ulicach?

— Widzisz... mam masę interesów, gdyż chodzę od redakcyi do redakcyi ze swemi utworami.

— Chciałeś powiedzieć: od kosza do kosza.

* * *

Jak Bartłomieja psy zjadły.

Chłop Bartłomiej Łykała
Pił dzień cały bez mała,
Aż mu gęba zsiniała.

Nos czerwony od wódki,
Słabe nogi, dech krótki:
Takie z picia są skutki.

Dobytek wciąż marnieje,
Na roli źle się dzieje,
Z radości czart się śmieje.

W chacie bieda aż piszczy,
Dziurami strzecha błyszczy,
Przez ściany wicher świszczy.

Przymiera żona z głodu,
Mrą dzieci z nędzy, chłodu,
A było ich jak lodu.

On w karczmie przesiaduje,
Rodzinę swą marnuje,
U Mośka się fantuje.

Kiedyś go na wesele
Prosili przyjaciele;
Picia było tam wiele.

Bartek flaszki wysusza,
Aż mu śmieje się dusza,
Spił się do paralusza.

Pozbył się już pamięci,
We łbie mu się coś kręci,
Ratujcie, wszyscy święci!

Jak z kamienia ma nogi,
Sen go ima się błogi,
A do domu szmat drogi.

Nic nie mówiąc nikomu,
Wymknął się pokryjomu;
Wali pieszo do domu.

Idzie drżący, wybladły,
Aż tu psy go opadły,
Ród haniebnie zajadły.

Gdzie która bestya może,
Zatapia kły i orze,
Na strzępy ciało porze.

Bartek na ziemię pada,
Cała wściekła gromada
Na niego razem siada.

Trunki go osłabiły,
Bronić się nie miał siły!
Na śmierć go psy zdusiły!

Oto pijaństwa skutki,
Z historyi tej morał krótki:
Nie pijcie ludzie wódki!

* * *

— Jak jest czwarte przykazanie? pyta kapłan chłopaka. — Czcij ojca i matkę twoję, abyś... kijem nie dostał.

* * *

— Adwokat umierając cały majątek zapisał na dom waryatów (głupich); pytany o przyczynę odrzekł: Z głupich zebrałem, niech głupi dziedziczą.

Logogryf.

Ułożył Czytelnik „Pracy“ Szermierz (pseudonim) z Galicyi.

Z następujących zgłosek należy utworzyć 10 wyrazów. Początkowe i końcowo litery odczytane z góry na dół dadzą znane staropolskie przysłowie:
ar—ces—dy—eks—ga—ge—in—ki—ko—kor—ku—la—li—le—lec—nat—nic—ne—no—o—ob—pią—poń—ro—ry—sz—sze—u—u—tek.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Dzień w tygodniu.
2. Rzeka we Włoszech.
3. Wyraz oznaczający krnąbnego chłopca (należy przestawić ostatnie spółgłoski).
4. Przymiotnik.
5. Inaczej towarzysz.
6. Szlachectwo.
7. 2. przyp. rzeczownika z łacińskiego: wybryk.
8. Czasownik.
9. Imię rzymskie.
10. Przyrząd dla krótkowidzów.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 24 sierpnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie łamigłówki nr. 31-go:

lupa
inna
tara
wół
ość
siła

Litwos.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. R. Pałczyńska i L. Ludkowski; *z prowincyi:* pp. Z. Kowalska z Bagateli, Z. Jaworska z W. Sławska; *z Prus Zachodnich:* pani W. Błażejewska ze Świeca; *z Galicyi:* pp. M. Zborowska z Andrychowa i Kierska z Truskawca.

Nagrodę otrzymali: pp. Z. Kowalska z Bagateli, W. Błażejewska z Świecia i Kierska z Truskawca.

Na stanowisku.

Opowiadanie myśliwskie powtórzył **Leon Chrzanowski.**

2)

(Ciąg dalszy.)

Kielcze — Kopki były ładnym zaścianskiem, składającym się z kilkunastu zagród szlacheckich ukrytych w cieniu gęstych sadów i śliwników, a rozrzuconych po obu stronach szerokiego wygonu, pokrytego zieloną murawą, i ocienionego szeregiem starych, wyniosłych jesionów.

Od przyjazdu naszego podbiegała ku drodze mała rzeczułka, rozlewając się w szeroki bród u wylotu wiejskiego wygonu. Stado gęsi skubało trawkę na wygonie, — pod jesionem u stóp bożej męki klęczała młoda dziewczyna.

Na widok nasz gęsi podniosły larum, — dziewczyna zerwała się i spojrzała ku nam. Mogła mieć 14 lub 15 lat, była zręczna, szczupła, płowowłosa, o niebieskiem oku i pięknej, opalonej twarzyczce, ale mizerna, biednie ubrana i nad wyraz smutna.

Kiełczewski wstrzymał konia, badawczo popatrzył na wystraszoną dziewczynę, coś na kształt rozrzewnienia mignęło mu w oczach i zapytał.

— Tyś Weronika Paluchówna?...

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, — wielkie, niebieskie oczy utkwiła z niemem przerażeniem w groźnej twarzy wiarusa; — widziałem, że ma ochotę zemknąć w najbliższe krzaki.

— Nie bój się panienko, — przemówiłem łagodnie, — to pan Kiełczewski z Mianowa, nic ci złego nie zrobi, — a pyta o Weronikę, bo to jego wnuczka.

Na te słowa dziewczyna rzuciła się do kolan starego.

— O mój dziaduniu złoty, ratujta-me, bo mie macocha silnie katują — i rozpłakała się rzewnie, tuląc się do konia i całując ręce i nogi.

Stary widocznie bardzo wzruszony, pogłaskał dziewczynę po głowie, zsiadł z bułanki, oddał mi cugle i poleciwszy zaczekać na niego, zwrócił się do dziewczyny.

— No dość tego lamentu „dzioucha,“ prowadź do izby — trza raz z tem wszystkiem zrobić porządek.

Robienie porządku zajęło mojemu staremu dobrą godzinę czasu, w ciągu której o ile mogłem zauważyć, ze wszystkich domów starsza część ludności ściągała do chaty, gdzie wszedł prowadzony przez Weronkę Kiełczewski.

Jakiego zaś rodzaju była to czynność, nie wiem dokładnie, dość, że gdy w końcu ukazał się mój stary, otaczała go świta seniorów zaścianka, uroczyście przeprowadzając do mnie. Wsiadłszy już na swoją bułankę, pozostawił obecnym taką dyspozycyą.

— Wy wszyscy, panowie sąsiedzi, baczta, by się sierocie krzywda nie działa, bo odpowieta za to przed boskim sądem i przedemną. Niech „dzieucha“ co cztery niedziele przychodzi do mnie pokazać się. No — a tymczasem ostajta z Bogiem.

— Dobrze, dobrze, będziem pilnować, będziem świadczyć, niech pon Kiełceski jedzie z Bogiem, — ozwały się liczne głosy.

Nawróciliśmy konie ku domowi.

— Jadziem do dom paniczu, będzie na dziś dość polowania, — dodał, wskazując na przytroczony do siodła worek Kuternogi.

Ciekawy byłem dowiedzieć się coś więcej o Weronce, która mi się bardzo spodobała, ale uważając, że i tak już w tym dniu pełnym wrażeń, stary mówił więcej, niż w zwykłych warunkach przez miesiąc, nie chciałem nadużywać jego wyjątkowej dla mnie słabości i dyskretnie milczałem.

* * *

Jedną z największych moich przyjemności myśliwskich było polowanie na „podloty“ z ogarami. Była to specyalność naszych stron, aranżowana przez Kiełczewskiego.

Około Prosienicy i Głęboczca na granicy leśnictwa rządowego Czerwony-bór było trzęsawisko paręset morgów rozległe i gęsto olszyną porosłe. Bagno to niedostępne dla ludzi, nawet w suche lata, po brzegach zaledwie możliwe, jako wspólne dla kilku wsi sąsiednich pastwisko, stanowiło bezsporne i bezpieczne królestwo błotnego ptactwa.

Osobliwie dzikie kaczki krzyżówki lęgły się tam tysiącami w bezpieczeństwie zupełnem, bo ryzykowne skoki z kępy na kępę po nad przepaściami niezgłębionego bagna, odstraszały najzapaleńszych myśliwych, a do jazdy łodzią zamało było wody, a zawiele szuwarów, kęp, chaszczów i korzeni.

W tym to kaczym mateczniku Kiełczewski przez parę dni każdego roku wyprawiał rzeź okrutną.

W końcu lipca, gdy młode kaczki prawie już dorosłe zrywać się do lotu poczynały, — puszczał na bagno sforę odpowiednio ułożoych ogarów, które goniąc po kępach, głosem straszyły owe podloty i wypędzały je na rozstawionych po suchszych miejscach myśliwych.

Podloty zapadały i zrywały się całemi gromadami, granie ogarów nie milkło na chwilę, a kanonada myśliwych, nawoływania i śmiechy, składały się na ożywioną całość zabawy myśliwskiej godnej choćby samego ś-go Huberta.

Niestety uciecha trwała krótko, — dwa lub trzy dni najdłużej, — poczem zestrachane i wzmożone na siłach podloty, wynosiły się po strzale na dobre, w dalsze okolice, by powrócić aż po skończonym napadzie na ich prawowite siedziby.

Dzięki też tylko tej okoliczności i ogólnej niełasce dla przelotnego ptactwa, Kiełczewski czynił odstępstwo od zwykłej swej wstrzemięźliwości i ubijał na równi z innymi po parę tuzinów nieszczęśliwych owych podlotów.

Jak rzekłem wyżej, cała zabawa trwała dni parę a główną sztuką było utrafić chwilę, w której „klapacze“ zamieniają się w „podloty.“ Parę dni zawcześnie, — źle, bo ogary będą łapać i dusić zbyt młode klapacze; parę dni zapóźno także źle, bo podlot raz spróbowawszy siły skrzydeł, po pierwszym strzale wyniesie się za bory i lasy.

A ponieważ lęg kaczek, zależny od wcześniejszej lub późniejszej wiosny, różnił się w czasie, nieraz o tygodni parę, więc Kiełczesio pilnował bacznie podlotów na Prosienickiem bagnie, które na mocy pozwolenia „panów braci“ składowskich traktował jak swoją własność.

Właśnie w roku, o którym mówię, lęg był wcześniejszy i już po paru dniach pobytu w domu na wakacyach, Kiełczesio zaproponował wycieczkę na bagno dla obejrzenia podlotów.

Wybraliśmy się po południu. Kaczęta okazały się zaledwie bardzo młodemi klapaczami w „pałkach,“ my zaś strudzeni jazdą rozłożyliśmy się na murawie pod olszyną, pozwalając koniom skubać trawę.

Wieczór był cudowny. Zachodzące słońce rzucało na łąkę długie cienie olszyn, leciuchny wietrzyk niósł na swych skrzydłach wraz z szmerem falujących kłosów, aromaty ziół i plonujących zbóż. Od bagna szły zapachy dojrzewających traw, kwitnących koprów, lilii i kosaćców. Szelest trzcin i tataraków mięszał się na tle żabiego chóru z gwarem kaczek i kulików, z żałosnemi piskami czajki, energicznem ćwierkaniem derkacza, nosowemi jękami bąka, które razem zlewały się w nieuchwytną a harmonijną symfonię letniego wieczoru, urozmaiconą trylami dzwońców w głębi olszyny schowanych.

Leżeliśmy obaj na miękkiej murawie, wsłuchani w ten cudny koncert natury, wpatrzeni w pogodne niebo, mieniące się tęczami zachodu, zadumani Bóg wie o czem, gdy nagle zbudziło nas z zadumy warknięcie wyżła Bekasa, wślad za czem ukazała się z poza krzaków usmiechnięta twarz młodego chłopaka.

Był to znany mi już ów Franek Nienałtowski, lecz wyrośnięty, przyzwoicie odziany, słowem inny człowiek.

Pokłonił się zręcznie i zwracając się do Kiełczewskiego, zwiastował mu, że znalazł na bagnie nad łachą Buga, gniazda dzikich gęsi, a że nie wiedział, co ma z tem robić, więc się zapytał Weronki, a że Weronka przykazała mu iść z tem do dziadusia, tak on i przyszedł.

— A cóżeś to ty przystał na służbę do Paluchówny?

— Co miałem przystać! inom sam zmiarkował zaraz co pan Kiełcewski najlepiej się znają na myślistwie, to im trza naprzód powiedzieć.

— A jakżeś się dowiedział, gdzie nas szukać, kiej nikt we dworze nie wiedział kaj pojechalim?

— „O la Boga!“ a cóżem miał chodzić do dwora? a toć przecie bułancyne kopyto na gościńcu „każden“ pozna, a przecie tera jenszego polowania nie masz, ino na podloty.

Podziwiałem spryt Franka, który pośród tysiąca śladów na gościńcu, odróżnił ślad rozłupanego kopyta bułanki, i z kierunku tego śladu odgadł naszą tajemniczą i odległą wycieczkę.

Bliższa indagacya wykazała, że Franek pragnąc wystąpić na imieniny Weronki z myśliwskim prezentem, wypatrzył owe gęsi. To mi nasunęło podejrzenie o istnieniu jakiejś sympatyi między tem dwojgiem sierot, choć ze względu na wspomnienie pięknych niebieskich oczu Weronki, myśl o tem nie była mi przyjemną, to jednak w głębi duszy, musiałem oddać sprawiedliwość dyplomacyi kobiecej dziewczyny, która widocznie starała się, skaptować sobie mojego starego dla Franka, czyniąc go posłem tak ważnej wieści do dziadusia, znanego wroga dzikich gęsi.

Pocisk nie chybił celu, Kiełczewski był mocno skonwinkowany, ku czemu przyczyniła się wielce przytomność odpowiedzi Franka. Polecił mu jaja wybrać i przynieść do siebie, a gniazda zniszczyć. W zapalczywości swojej przeciw tym „cyganom“ dał mu nawet siatki do nakrycia samic na gnieździe, co już było wielkim dowodem zaufania, i budzącej się słabości dla myśliwskich instynktów Franka.

* * *

Tego roku lato było bardzo suche, zwierzyny dużo przybyło, osobliwie dla zajęcy rok był idealny i namnożyło się tego tyle, że Kiełczewski pozwolił na jesieni ubijać po cztery sztuki na jednem polowaniu.

Nastąpiła zima niesłychanie ostra; niezmierne śniegi zasypały pola, pomiędzy zaściankami, skutkiem olbrzymich zasp sięgających powyżej opłotków, komunikacya była bardzo utrudniona.

Kiełczewski codzień, wyjeżdżając z trutkami i witerunkiem na lisy, rozwoził saneczkami po polach, i ustawiał przy kępach głogu i tarniny, zawczasu przygotowane snopki niemłóconego zboża, na pokarm dla biednej uciśnionej wielce zwierzyny. Krążył około zaścianków śledząc troskliwie i niszcząc wszelakie ciała, włóki i potrzaski, słowem był duchem opiekuńczym zajęcy i kuropatw na całą okolicę.

Około Bożego Narodzenia, z puszcz Czerwonego boru, rozbiegły się wilki, czyniąc straszliwe szkody po okolicy. W dodatku rozeszła się wieść o „wilkołaku,“ który z niesłychanem zuchwalstwem rzucał się na ludzi, napadając na chaty i dobierając się przez okna i podkopy pod drzwiami.

W Głęboczcu dostawszy się przez okno do chaty osadnika, pokaleczył okropnie kilkoro ludzi, to samo w Wiśniewie i jeszcze w paru wsiach. Ogólna liczba pokąsanych doszła do trzydziestu sześciu osób, oględziny lekarskie skonstatowały pokąsanie przez wściekłe zwierzę, w Łomży urządzono dla nieszczęśliwych oddzielny szpital.

Na zaścianki padł strach paniczny. Nocą barykadowano się po chatach wraz z bydłem, psami i całym dobytkiem, mężczyźni uzbrojeni w widły i kosy czuwali całemi nocami.

Kiełczewski posłyszawszy o tem, zabrał się do jakichś tajemniczych praktyk. Nocą lał kule, później widziano go z fuzyą na mszy w kościele, w końcu zniknął na dni parę.

Naraz z nieszczęśliwego Głęboczca rozbiegła się po zaściankach wieść radosna, że straszny „wilkołak“ (właściwie jak się okazało olbrzymi wściekły wilk) zabity został przez Kiełczewskiego „srebrną poświęcaną kulą“ w nocy „akurat“ pod chatą tego osadnika, który padł pierwszą ofiarą.

Wieść ta okazała się prawdziwą, przynajmniej co do głównego faktu ubicia wściekłego zwierza. Odwieziono nam starego w tryumfie, a na drugi dzień zjawiła się liczna deputacya wszystkich Kiełczewskich, z podziękowaniem za honor uczyniony rodowi, i wybawienie zaścianków z pod grozy „wilkołaka.“

Niezależnie od tego, władza zaniepokojona ciągłemi wypadkami, zarządziła olbrzymią obławę dla wytępienia wilków w Czerwonym borze. Cztery tysiące nagonki, parę kompanii wojska i dwustu myśliwych użyto do osaczenia puszczy liczącej przeszło 30,000 morgów. Że jednak przytem nie było odpowiedniej głowy do zarządzenia taką masą — rezultat był żaden. Ubito raptem dwóch wilków. Jeden padł na miejscu od kuli Kiełczewskiego, do drugiego, postrzelonego jak rzeszoto, palił, kto żył, pudłując na humor, przyczem kilku żołnierzy i kilkunastu ludzi z nagonki, także odniosło rany, od źle skierowanych strzałów z dalekonośnych karabinów. Główne zaś stada, przebiwszy źle spojone linie nagonki, wyniosły się w sąsiednie prywatne lasy i nad Bug w leśnictwo Brok.

Po skończonem polowaniu, luminarze okolicy wraz z przedstawicielami władz, rozłożyli się biwakiem pod lasem, oczekując na posiłek odgrzewany przy ogniu przez kilku kucharzy.

Opowiadania o odwadze i umiejętności Kiełczewskiego, zainteresowały o tyle dygnitarzy gubernialnych, że zapragnęli go poznać.

Ojciec mój odszukał starego i uprosił, by dał próbkę swej celności.

— A no dobrze, ale niech jaśnie pany tyż spróbują!...

To mówiąc, odmierzył 100 kroków do najbliższej sosny, nożem zaciosał na niej korę i w środek zaciosu wsadził wyjęty z torby niewielki gwoździk z mosiężną główką. Wielu z panów próbowało, ale przy zapadającym zmierzchu żaden nawet w zacios trafić nie mógł, i kule zaledwie obcinały brzegi nie grubego zresztą pnia sosny.

Nareszcie stary przymierzył ze swojej pojedynki, pogardliwie krowianką albo krowią nogą zwanej, strzelił — kula wbiła gwoździk głęboko w rdzeń sosny!

Ogólne brawo powitało ten strzał istotnie mistrzowski, naczelnik gubernii wyjął garść banknotów, inni panowie poszli za tym przykładem; w jednej chwili uzbierano paręset rubli dla doręczenia staremu.

Ale Kiełczewski nie darmo czuł się szlachcicem.

Doręczone sobie w najuprzejmiejszy sposób, przez jednego z młodszych panów, pieniądze, odniósł dygnitarzowi, mówiąc grzecznie, ale stanowczo:

— Szlachcic jezdem jaśnie panie i pieniędzy przyjąć mi się nie godzi.

* * *

Nigdy nie podzielałem pasyi mojego mentora do polowania „na ciągach'' dla kompanii jednak i dogodzenia staremu towarzyszyłem mu czasami.

Wczesna Wielkanoc sprowadziła mnie na święta do domu, jak raz podczas najwyższego rozwoju „ciągów.'' Bug rozlał szeroko, wszystkie „łęgi, biele i grodzie'' stały pod wodą, z pod której gdzie niegdzie sterczał szmat jakiegoś wyższego „półetka'' grzbietami „oziemków.''

Stary namówił mnie na ciągi. Wczesnym rankiem wstąpiliśmy do Kopków po Franka, który pomału wykierował się na prawą rękę, i zaopatrzeni w żywność na cały dzień, wsiedliśmy do łodzi. Plan był tego rodzaju, że ja zbrojny w nabitą kulami broń, miałem zostać na którejkolwiek z niezalanych kęp i strzelać, o ile się da, do stad płoszonych strzałami swych towarzyszy z łodzi, w górze rzeki a właściwie rozlewu.

Jakoż po kwadransie niebezpiecznej pomiędzy wirami i mieliznami żeglugi, upatrzono dla mnie kępę z paru krzaczkami wikliny, i tam wylądowałem, z psem do aportowania zdobyczy in spe, łódź zaś pomknęła dalej w górę i wkrótce znikła mi z oczu na zakręcie zalanej doliny.

Po jakiejś godzinie, dość nudnego na chłodzie i wilgoci, oczekiwania, w niewygodnej pozycyi pod owemi krzaczkami, usłyszałem parę odległych strzałów, a w chwil, potem stado dość nisko ciągnących kaczek, przeleciało nieopodal od mojej kępy. Udało mi się zabić jedną, pies ją przyniósł do nogi, i znowu cisza przerywana tylko pluskiem. Po godzinie znowu strzały jeszcze odleglejsze i w ślad za niemi stado gęsi. Tym razem wszakże ciąg wypadł bokiem odemnie, i zbyt daleko, tak, że strzały z obu luf skończyły się pudłem.

Tymczasem zziębnięty i przemoczony spostrzegłem z przerażeniem, że woda się nieznacznie podnosi, i że z mojej kępy pozostało zaledwie parę łokci kwadratowych jeszcze nie zalanych. W dodatku zaczął mi dokuczać głód, a nogi zamoczone zziębły do tego stopnia, że straciłem możność poruszania niemi.

A tu nietylko że łodzi z powrotem nie widać, ale jeszcze i strzały zupełnie ucichły, i ptactwo ciągnąć przestało. Godzina za godziną mija, a moich towarzyszy ani słychać.

Jak okiem sięgnąć rozlane wody, nigdzie żywego ducha, a na dobitkę drobny z początku wyprawy deszczyk, zamienił się powoli w marcową szarugę na poły ze śniegiem zmięszaną i siekącą dotkliwie i mnie, i drżącego psa, tulącego mi się do nóg z żałosnem skomleniem.

Upadając ze znużenia, naprawdę przerażony swojem położeniem, zacząłem z rozpaczy raz po raz strzelać.

Po kilkunastu strzałach, zauważyłem na brzegu urwiska od łomżyńskiej strony, jakąś postać, która uopatrzywszy ku mnie, pędem pobiegła w kierunku zaścianków szlacheckich.

Jeszcze parę godzin oczekiwania, które mi wydały się wielkiemi, i ujrzałem nareszcie łódź dworską z Gąsiorowa, a w chwilę potem, znalazłem się bezpieczny na brzegu, głodny, zmoczony, zziębnięty, zmęczony wysiłkiem i niepokojem, ale przecie żyw i cały.

Dowiedziałem się, że ratunek przyszedł mi z ręki Weronki, która posłyszawszy moją kanonadę, jako prawowierne myśliwskie dziecko, domyśliła się czegoś niezwykłego, pobiegła nad rzekę, a dojrzawszy mnie bystrem okiem, na niknącej pod wodą kępie, narobiła gwałtu, i wysłała pomoc z najbliższego dworu.

Pozostawienie mnie na pastwę losów na kępie było następstwem groźnego wypadku, jaki spotkał moich towarzyszy. Zacietrzewieni niepowodzeniem pierwszych strzałów, zagnali się w górę rzeki o mil parę; łódź porwana prądem uderzywszy pień pod wodą ukryty, uległa rozbiciu, a oni ratując życie zaledwie dobić zdołali do siedleckiego brzegu, około Kiełpińca, zkąd dla braku łodzi, ani sami wrócić, ani mnie dać pomocy, ku strasznemu niepokojowi obu, dać nie mogli.

Cała ta afera obrzydziła mi do reszty polowanie „na ciągach'' — i „stanowiska'' na kępach, a dla Weronki zachowałem żywą wdzięczność, jaką dla istoty, której rzeczywiście winienem jeśli nie życie, to z pewnością zdrowie.

* * *

Sprawy życiowe trzymały mnie zdala po za domem lat kilka. W ciągu tego czasu parę razy zaledwie, i to na bardzo krótko, widziałem Kiełczesia. Mogłem wszakże zauważyć, że się wcale nie zmienił, i pozostał takim, jak był za moich dziecięcych lat, cichym, poważnym, o groźnej minie i łagodnem oku, starcem.

Nareszcie na późnej jesieni przyjechałem na dłużej, i chcąc się nacieszyć polowaniem, zaraz nazajutrz przy niedzieli, pobiegłem na Wójtostowstwo, by się z Kiełczewskim umówić o szczegóły.

W sionce natknąłem się na Franka Nienałtowskiego, już kompletnie dorosłego, dorodnego mężczyznę, który mnąc czapkę w ręku, dziwnie zmięszaną i niespokojną miał minę.

W izdebce starego zastałem znów Weronkę Paluchównę, obecnie piękną, wysoką blondynę, o pogodnej twarzy i jasnem spojrzeniu. Dziękowała za coś „dziadusiowi,'' który ją wyprawiał słowami:

— Przydźta do mnie po nieszporach, to może się co poradzi.

Tego dnia Kiełczewski był jakiś nie swój, zamyślony, powitał mnie z mniejszym, niż zwykle, zapałem; na pytania moje odpowiadał z roztargnieniem, wreszcie zdjął wiszącą na ścianie w wzorowej czystości, piękną dubeltówkę, i obejrzawszy ją starannie, przedmuchawszy lufy, zarzucił na ramię i poszedł do dworu, wprost do gabinetu mego ojca.

Konferencya w cztery oczy trwała dość długo, Kiełczewski wyszedł po niej jakiś uroczysty, poważniejszy, i jakby wyższy, niż zwykle, lecz bez broni.

Pobiegłem do ojca dowiedzieć się, co zaszło. Zastałem go wzruszonego i oburzonego:

— Ten stary waryat ogłupiał do reszty! Cóż on sobie myśli, ze mną jeszcze ceremonie stroić?... dureń stary!...

Pomału dowiedziałem się, że ponieważ Weronka i Franek kochają się i mają pobrać, czemu staje na przeszkodzie nieszczęśliwie wyciągnięty los do wojska, więc młodzi uciekli się do pomocy dziadusia. Dziaduś zaś nie mając pieniędzy, o które nigdy nie dbał, umyślił sprzedać jedyny cenny przedmiot, jaki posiadał, to jest pamiątkową dubeltówkę, i z tem przyszedł do dziedzica.

Ze swej strony dziedzic, który by rad staremu nieba przychylić, pieniędzy natychmiast dał, ale o przyjęciu broni słyszeć nie chciał i ztąd gniew cały, bo Kiełczewski uparł się, i pomimo próśb, a w końcu wymyślań, postawił na swojem, choć mu się serce rwało w piersiach do ulubionej strzelby.

(Dokończenie nastąpi.)